

# wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne · cena 5 zł · nr 4/5 (228/229) · kwiecień/maj 2011



*Zdrowych i Spokojnych Świąt Wielkiej Nocy  
życzą „Wiadomości Kościańskie”*

Ulica Wroclawska w Kościanie.

Pastel artysty plastyka Grzegorza Pawlaka



W Kościanie największą popularnością cieszą się tradycyjne świąteczne „bазie”.

Fot. Teresa Masłowska

# Palma w praktykach wielkanocnych

Święcenie palm w ostatnią niedzielę Wielkiego Postu wywodzi się z dawnych pogańskich wierzeń. W niniejszym tekście przedstawiamy fragmenty opracowania etnografa Franciszka Gawelka, opublikowanego w 1911 r. na łamach kwartalnika „Lud”, które jest dostępne w całości na stronie Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej [www.wbc.poznan.pl](http://www.wbc.poznan.pl)

Wśród licznych przesądów i zwyczajów ludowych napotykamy wiele takich, które bardziej zwracają na siebie uwagę już to swą oryginalnością, już też sposobem, w jaki się je praktykuje i okolicznościami, jakie im towarzyszą. Do takich więcej interesujących zaliczam zwyczaje wielkanocne. Czas od środy popielcowej, albo jeszcze wcześniej, bo od niedzieli zapustnej aż do Wielkanocy, jest bardzo zajmujący ze względu na zwyczaje, jakie się spostrzega wśród ludu. Już chodzenie w „ostatki” z Zapustem, kozą, Turoniem, kurkiem, Konikiem, Niedźwiedziem, przebieranie się za żydów, cyganów i t.p. jest bardzo ciekawym zwyczajem i stanowiłoby wdzięczny temat do opracowa-

nia. Zbadać genezę tych zwyczajów i ich związek z życiem duchowym ludu, to byłaby praca wcale pożyteczna.

Różne istnieją poglądy na pochodzenie zabobonów, przesądów, zwyczajów i podań ludu. Jedni uważają je za zupełnie nowe, napływowe u nas, które wniosło dopiero chrześcijaństwo, drudzy dopatrują się w nich szczątków naszej pierwotnej wiary, obrzędów pogańskich, inni wreszcie chcąc pogodzić te dwa sprzeczne z sobą poglądy utrzymują, że dawne, pierwotne wierzenia Słowian zlały się z nowymi, obcymi przesądami, które przyszły do nas wraz z chrześcijaństwem i z tego przez asymilację wytworzyły się nowe pojęcia. ➔

W numerze m.in.:

**Symbolikę palmy  
opisuje etnograf  
Franciszek Gawełek  
(3-5)**

**Biskup  
Kazimierz Majdański  
wspomina czasy obozowe  
(6-8)**

**O polskich dzieciach  
w Tengeru pisze  
Zdzisław Wojtczak  
(13-14)**

**„Gorzko pachną pioluny” –  
przekonuje  
Adam Tomaszewski  
(15-16)**

**Losy rodziny Mayów  
odkrywa Jan Pawicki  
(33-34)**

**Z dyrektorem Biblioteki  
Raczyńskich rozmawia  
Teresa Masłowska  
(38-40)**

**Dramatyczne wydarzenia  
1946 roku przedstawia  
Jerzy Zielonka  
(42-45)**

**„Wiadomości Kościańskie”.** Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

▶ R. W. Berwiński dowodził, że wyobrażenia ludu, jego przesady i wiara w upiory, przechodziły doń razem z chrześcijaństwem tysiącami drogami, że te wymarzone skarby są tylko napływem obcych żywiołów różnych czasów, co wykazywał na przesadach, gusłach i czarach; o uroczystościach ludu i obrzędach. O tym ceremoniale, wyrosłym z pojęć religijnych ludu, z jego dogmatyki, nie mówi autor, jakkolwiek z wielu napomknął i z całego toku rozumowania nie trudno pojąć, że i te, wedle zdania autora, przywędrowały do nas od obcych. Wobec takich twierdzeń, dwa tylko pozostają ostateczne wnioski: 1-mo albo należy przypuścić, że był kiedyś czas, gdy umysł Słowian był tabula rasa, na której potem narysowały się dopiero i rozgościły potwory pogaństwa rzymskiego przywleczone wraz z chrześcijaństwem, albo też 2-do przypuścić trzeba, że przed przyjściem owej wiary w czary, lud miał inne wyobrażenia, które odrzucił jako przestarzałe, a przyjął nowe. Zdaje się, że już sam Berwiński nie był zbyt pewny swego stanowiska, jakie zajął wobec badanych przez siebie rzeczy, skoro na czele swego dzieła umieścił słowa Ausona: „Alius alio plus invenire potest, nemo omnia”.

Podobnie prof. A. Brückner utrzymuje, że wszystkie polskie wierzenia i przesady są pochodzenia niepolskiego, że przybyły dopiero do Polski wraz z chrześcijaństwem, zapuściły tu korzenie i rozrosły się, znalazłszy glebę urodzajną, na której podobne pogańskie wierzenia od czasów najdawniejszych wybijały, te obce przesady i wierzenia wyrugowały, zmieniły zassymilowały sobie starsze, miejscowe, pogańskie, tak, że granicy między jednymi a drugimi oznaczyć niepodobna, że więc i o śladach jakiegoś pogaństwa w tych gusłach ściślej mówić nie wolno.

Mnie się zdaje, że niektóre przesady i zwyczaje ludowe bliżej rozpatrzone i zestawione z obcymi dałyby nam niejedną cenną wskazówkę, jak tego rodzaju rzeczy badać, i jakie z tych badań odnieść może nauka polska korzyści. Boć przecież niemożliwym się wydaje, aby Słowianie, jak to już wyżej wspomnieliśmy, nie mieli żadnego kultu religijnego, żadnych podań i tradycji, podczas gdy wszystkie inne, współczesne im ludy to wszystko posiadały, a jeżeli mieli, jakżeż by mogli utracić to,

co do niedawna było dla nich świętością. Zapewne, nowa wiara musiała wyprzeć starą, ale nim to się stało, dużo czasu upłynęło i z dawnego, żywego kultu, pozostało wspomnienie, zachowały się resztki w formie dziś t. zw. przesądów i zabobonów. Zresztą wiemy, że kościół, wprowadzając wiarę chrześcijańską, nie mógł zabraniać nowochrzonym wykonywania dawnych, po przodkach odziedziczonych praktyk i obrzędów religijnych; kościół wiedział, że łatwiej odstąpiłoby od nowych dogmatów religijnych, aniżeli od ucies i zabaw, jakie towarzyszyły ich uroczystościom. Stąd też, niektóre dawne praktyki uświęcał swą powagą, zwłaszcza zaś te, których cel pogański łatwo mógł być zamieniony na chrześcijański.

Papież Grzegorz Wielki wysyłając w 591 r. misjonarzy dla opowiadania wiary Anglo-Sasom polecał im, by mieli wzgląd na zwyczaje mieszkańców, by nie niszczyli ich świątyń, ale je raczej na kościoły zamieniali, by nie wzbraniło obchodu uroczystości i składania ofiar w wotach, które się odbywały na cześć szatana, lecz by je zamieniali na uczy religijne dla chwały prawdziwego Boga. Nie ma więc wątpliwości, że tym sposobem wiele dawnych praktyk pogańskich do dziś się przechowało, w zmienionej oczywiście szacie.

Rola palmy, w jakiej ją dzisiaj znajdujemy, została jej nadana później – w czasach chrześcijańskich, jednak nie wiele odbiegła od swego pierwotnego przeznaczenia. W palmie, jaką dzisiaj spotykamy wśród ludu, poświęcaną w kwietnią niedzielę, dopatrujemy się szczątków dawnego kultu drzew, a w ogólności roślin, poświęconych pewnym bóstwom. Słowianie znali kult drzew. Zachodzi teraz pytanie, czy ten kult już na zawsze przepadł, czy też, podobnie jak rozmaitych ziół, przetrwał do dzisiaj. Tak, przetrwał, a odnaleźć go nie trudno wśród ludu. Wyrazem tej czci jest palma, poświęcana w niedzielę, nazwana palmową, Wierzbną, Kwietną, lub wreszcie Różdżkową.

Palmie przypisuje lud szerokie znaczenie lecznicze i czarodziejskie. Spożywanie pączków gałązki wierzbowej, praktykowane jeszcze po dziś dzień wśród ludu, w celu zabezpieczenia się przed bólem gardła, znane było już w XIV wieku, o czym wspominają kaznodzieje, a Mikołaj Rej w Postylli, wydanej w roku 1556 w Krakowie, w kazaniu na niedzie-

łę 17 po św. Trójcy, w liście 201 A wyraźnie mówi: „W Kwietną niedzielę, kto bagniatka nie połknął a dębowego Kristusa do miasta nie doprowadził, to już dusznego zbawienia nie otrzymał”. Jak silnie tkwi wiara w moc leczniczą pączków palmy wśród ludu, wystarczy przytoczyć taki przykład, jak zwyczaj dawania ich bydłu wraz z ziemniakami, aby je zabezpieczyć przed chorobą. W okolicy Osieczan, biegają z palmą do stajni i chlewa i mieszają nią w żłobach, aby zaraźliwej choroby w nich nie było, krowy nią omiatają, koniom nozdrza obcierają, aby żadnej choroby nie powąchały, poczem kładą ją na jabłoni, aby uschła i chowają za krokiew.

Prócz leczniczych, posiada palma i własności czarodziejskie. Uderzenie palmą bydła przy wypędzaniu go pierwszy raz w pole, ma być pomocnym przeciw szkodliwości czarów, a krowom ma przysporzyć mleka. Praktykuje się to zarówno wśród ludu polskiego, jak i rosyjskiego i czeskiego. Ten sam zwyczaj aczkolwiek w innej porze, spotykamy wśród Niemców. Wieczorem w wigilię św. Marcina przebiera się pasterz, i chodząc od domu do domu, obdarza każdego wieśniaka t. zw. różdżką św. Marcina, posiadającą właściwości lecznicze. Różdżkę tę wija z gałązek brzoźowych lub palmowych z kocankami, bardzo starannie przyozdobionymi wstążkami. Przy wręczaniu pasterz życzy, by trzody, role i łąki były płodne i urodzajne w następnym roku. Te gałązki kładą wieśniacy poza drabinę żłobu, na dachu, lub też wieszają nad drzwiami stajni, gdyż chronią bydło przed czarami i złąmi przygodami. Starodawni Germani uważali te różdżki za ucieleśnienie w drzewie żyjącej duszy, będącej bóstwem wzrostu, urodzajności i płodności. U nas w XV w. pasterz czynił to samo na Nowy Rok. Pręty przez niego rozdawane były święte i nie godziło się ich brać gołą ręką, lecz „kosmato”.

Palma zatknięta za obrazy i sufity domów i chlewów, ma je chronić przed burzami i pożarem. Czesi dla zabezpieczenia się przed piorunami trzymają na dachach netresk (*sempervivum* i hromowe koreni) a w polach wtykają święcone gałązki wierzby, by uchronić zasiewy od gradu. Wierzą, że taka wierzba rzucona pod wiatr odpędza burze, rzucona zaś w płomienie, zmniejsza ich żarłoczność. Spotykamy jeszcze i dziś gałązki zatykane na końcach łą-

nów, jako mające bronić plony przed gradem. Podobny zwyczaj istniał wśród ludu i w XIV wieku, przeciw czemu występowali ostro kaznodzieje. Czesi wierzą, że przy pomocy poświęconej wierzby i trzech pręcików białego orzecha można odnaleźć zaklęte skarby, jak u nas to samo osiągnie się przy pomocy kwiatu paproci. Na zakończenie tego cośmy o drzewach powiedzieli, pozwolę sobie przytoczyć średniowieczną legendę, tłumaczącą nam, dlaczego pewne drzewa pewną barwę przybrały.

Gdy po śmierci Chrystusa całą naturą pogrążona była w smutku, sosna wyrzekła: „On umarł, więc na znak żałoby przybiorę ciemny kolor i szukać będę miejsc odludnych. Winorośl w Sorrento szepnęła: „Z żalu zczernieją moje jagody a z prasy, z której wyciskać je będą, spłynie „Lachryma Christi”. Wierzbą babilońska posłyszawszy straszną wieść z Golgoty, westchnęła: „On umarł, teraz smutne moje gałęzie zwieszają się będą zawsze ku wodom Eufratu i płakać łzami jutrzeńki”. Cedr Karmelu jęknął: „On umarł, odtąd ocieniana będę tylko groby, i ani dzikie gołębie, ani piegię nie będą słały gniazd na moich gałęziach”. Cis się odezwał: „On umarł, teraz będę rósł tylko na cmentarzach, pszczoła pod karą śmierci nie dotknie moich zatrutych kwiatów, ptaki w mych gałęziach śpiewać nie będą, a wyziewy moje zarażą febrą nieroztropnych, którzyby pod moim cieniem szukali spoczynku”. Kwiat fryzu rzekł: „On umarł, więc na zawsze pokryję fioletem swój złoty kielich, i nosić będę wieczną żalobę”. Jedynie tylko dumna topola pozostała niewzruszoną” „Cóż mnie to obchodzi? – wyrzekła: – On zmarł z powodu grzeszników, a ja jestem niewinna, zostanę taką, jaką byłam”. I za ten brak uczucia, liście topoli skazane są na ciągłe drzenie. (Polskie podania ludowe podają inny powód drżenia liści topoli, a mianowicie: gdy żadne drzewo nie chciało użyć Judaszowi swych gałęzi na jego zbrodniczy zamiar, wówczas topola ofiarowała mu swe konary i od tej pory, za karę, drży przed Panem Bogiem).

Poetyczna ta legenda świadczy o silnie wkorzenionych w szczerp aryjski panteistycznych poczuciach, pokrewieństwie między człowiekiem a rośliną w poezji Indusów, która tu znalazła swój wyraz, gdy cała natura oplakiwała śmierć Boga Człowieka i wdziękowała po nim żalobę.

**FRANCISZEK GAWELEK**

# Medytacja wielkopostna

**J**ezus, który 40 dni i nocy modlił się i pościł, był kuszony przez szatana na pustyni, który objawił swoją miłość szczególnie tym, których nazywano grzesznikami, nierządnicami, zdrajcami – dzięki temu ostatni stali się pierwszymi i Jezus, który doświadczył wszystkiego, co ludzkie – ból, samotność, cierpienie, a co więcej umarł i zmartwychwstał, stał się wzorem, mistrzem i nauczycielem, dla wszystkich, którzy prawdziwie szukają zbawienia. Greckie słowo soteria (zbawienie) oznacza: „mieć otwarte serce”, „oddychać swobodnie”, „być wolnym” „być w pełni zdrowia fizycznego, psychicznego i duchowego”. Jak widać starożytna wiedza była bardziej holistyczna niż moglibyśmy przypuszczać.

Jednym z tych, którzy podobnie jak Jezus podążał drogą pustyni, był żyjący w IV wieku mnich Arseniusz. Jak wielu współczesnych ludzi próbował różnych ćwiczeń i technik aby przezwyciężyć ból istnienia. Gdy zawiodły wszystkie metody, wtedy w głębi swojego serca spytał się samego Chrystusa: „Co należy czynić, aby zostać zbawionym?” Usłyszał wówczas trzy słowa: „Uciekaj, zamknij, odpocznij”. W niektórych sytuacjach ucieczka jest jedynym wyjściem i nie oznacza tchórzostwa. Ucieczka jest obroną gazeli. Dla człowieka pustynia może też być miejscem ucieczki, ale często staje się też miejscem walki z samym sobą, ze swoimi słabościami, z wielkim nieuporządkowaniem, z grzechem. Grzech rozumiany był jako „zapomnienie o Bogu”, dlatego Marek Pustelnik powiedział: „W czasie, gdy pamiętasz o Bogu, zwielokrotnij swą modlitwę, by w dniu, gdy zdarzy ci się o Nim zapomnieć, Bóg przypomniał ci o Sobie”.

Na pustyni próżność nie istnieje i nie sposób zapomnieć kim jesteśmy. Pustynia jest ucieczką od czegoś ale jest też ucieczką do czegoś czy do kogoś.

Można też uciec w iluzję, w uzależnienie. Amerykańscy specjaliści rozróżniają dziś już ponad 70 rodzajów uzależnień, które uznają za chorobę. Obok alkoholizmu i narkomanii wymieniają uzależnienie od jedzenia, pracy, seksu, uzależnienie od sprzątanania czy praktyk religijnych. Ojcowie Pustyni znali je także, dlatego proponowali posłuszeństwo, aby nie dać się zwieść własnym miarom jedzenia, napoju, pracy czy praktyk religijnych.

Chrystus uciekł od ludzi na pustkowie, gdy ci próbowali dostrzec w nim tylko przywódcę politycznego, uzdrowiciela czy rozmnożyciela dóbr materialnych. My również powinniśmy odrzucić wszelkie wyobrażenia o Bogu, aby osiąść Boga samego. Mistrz Eckhart wyraził to w sposób paradoksalny: „Przez miłość do Boga, trzeba nam porzucić Boga”.

Drugim zaleceniem jakie usłyszał Arseniusz było: „zamknij”. Ojcowie Pustyni byli szczególnie wyczuleni na zło, jakie czyni używanie słów do obmowy, oceniania i szkalowania innych. Pewien starzec nowicjuszowi znanemu z ostrego języka kazał poszukać indyka i oskubać go. Gdy nowicjusz to uczynił, wtedy kazał mu przywrócić indykowi piórka. Nowicjusz stwierdził, że to nie jest możliwe, starzec zaś dodał: „Nie można też przywrócić dobrego imienia człowiekowi, którego zniszczyło się złym słowem”.

Opowiadano też historię o pewnym mnichu, który usłyszawszy słowa Psalmu: „Postawiłem straż moim ustom...” odszedł na pustynię i powrócił dopiero po dziesięciu latach i powiedział: „Teraz mogę wysłuchać dalszych słów psalmu”.

Milczenie nie jest celem samo w sobie, jest drogą do poznania samego siebie. Gdy milczą nasze usta wtedy mówi nasze wnętrze. Milczenie jest też warunkiem usłyszenia głosu Boga, który przemawia do nas w ciszy naszego serca. ➤

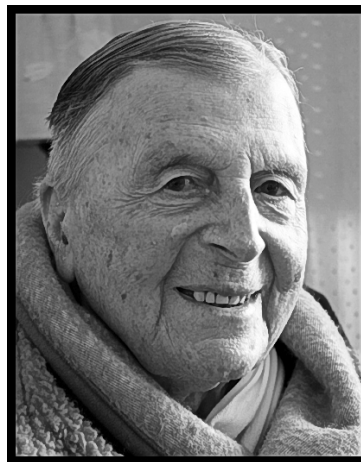
▶ Wiemy jak trudno jest niekiedy milczeć naszym ustom, ale jeszcze trudniej jest milczeć naszym myśлом. Jest to jednak warunek konieczny, aby się prawdziwie modlić czy medytować, ponieważ jak powiedział jeden z mnichów z góry Athos: „Gdy przebywamy w czyjejś obecności, nie myślimy o nim, bo on jest z nami. W prawdziwej modlitwie nie myśli się o Bogu lecz jest się z Nim, pozwala Mu się być, oddychać w naszym tchnieniu”. Może dlatego Dostojewski napisał, że ateista jest czasem bliżej Boga niż człowiek wierzący, który tylko powtarza słowa, idee czy symbole, jakich go nauczono o Bogu. Może również dlatego w pierwszych wiekach chrześcijaństwa teologami nazywano tych, którzy się modlili, a nie tych którzy pisali rozprawy o Bogu.

Ostatnim słowem jakie usłyszał Arseniusz było: „odpocznij”. Nie jest to czymś nowym. W Starym Testamencie słowo to pojawia się wiele razy. W Księdze Mądrości np. czytamy: „Bóg szuka pomiędzy ludźmi miejsca dla swego odpoczynku”. Odpoczynek był rozumiany jako trwanie w pokoju, które jest warunkiem trwania w Bogu. Pokój też nie jest celem samym w sobie, dlatego święty Serafin mógł powiedzieć: „Znajdź pokój wewnętrzny a rzesze zostaną zbawione u twego boku”. Pokój serca jest zapewne pragnieniem wszystkich ludzi, ale wydaje się, że jest również najmniej znanym doświadczeniem współczesnych. Może dlatego kiedyś człowiek pracował, aby mógł odpocząć, taki jest sens szabatu, odpoczynku siódmego dnia. Dzisiaj człowiek odpoczywa, aby móc lepiej pracować – tak silna okazuje się pokusa gromadzenia dóbr czy wiedzy i realizacji o władzę i znaczenie. Watykański egzorcysta badając wielu ludzi, którzy zgłaszali się do niego jako opętani, stwierdził: „Większość z nich nie była opętana, byli przemęczeni, przepracowani...”.

Tak często szukamy szczęścia, a w rzeczywistości oddalamy się od niego; tak często mówimy, że szukamy Boga a robimy wszystko aby o nim zapomnieć. Niech ten czas czterdzieści dni ucieczki na pustynię będzie okazją do uświadomienia sobie, że Bóg, który umarł za nas i zmartwychwstał dla naszego zbawienia szuka nas i daje słyszeć swój głos, gdy my trwamy w pokoju i milczeniu.

**JAN M. BEREZA OSB**

\* Tekst tej medytacji powstał w 1991 roku



Abp Kazimierz Majdański

Fot. <http://www.cpt.org.pl>

# Świadectwo

## numeru

### 22 829

(I)

Kwiecień jest tradycyjnie Miesiącem Pamięci. Dla księży – więźniów obozu koncentracyjnego w Dachau – stał się dodatkowo miesiącem stałych spotkań w kaliskiej Kolegiacie św. Józefa. Jednym z tych dachauczyków był ks. biskup Kazimierz Majdański. Drukowane tu wspomnienia pochodzą ze zbiorów ks. kanonika Leona Stępniaaka z Kościana.

Dlaczego świadectwo daje numer?

– Numer był ważny. W Dachau, jak we wszystkich obozach koncentracyjnych, nie człowiek się liczył, lecz numer. Meldował się na każde wezwanie – właśnie numer: „Numer... – meldet sich gehorsamst zur Stelle!” Wystarczało to władcom za obozową bramą.

Numer był ważny i liczba. Ciągłe liczone. I gdy liczba się nie zgadzała, pytano o numer. Gdy liczba się nie zgadzała, zaczynał się ponury dramat obozowy. W Oświęcimiu – tło heroicznego gestu Więźnia Nr 16 670, którego jednak za-

pytywano: „Wer bist du? – Kim jesteś?”

Tak niezwykle poza numerem objawiło się człowieczeństwo, że rozerwało obowiązującą w obozach „numerową” kategorię myślenia. Nie musi człowiek, wszedłszy w orbitę potwornej maszyny odczłowieczającej, maszynie tej się poddawać. Numer więc był ważny, gdyż był ważnym zadaniem: by traktowany jak numer człowiek nie stał się numerem. Maksymilian, numer 16 670, dziś Święty Męczennik, jest Patronem trudnej, a tak wspaniale ocalonej godności człowieka.

Została ocalona w wielu. Ocalona, a nawet bardzo wysoko wyniesiona. Tak właśnie było ze „sprawiedliwym”, o którym Nr 22 829 zamierza dać świadectwo. Nazywał się Heini Stöhr. Też był numerem. Nie wiem, czy znał dokładnie Ewangelię, ale okazał się takim człowiekiem, którego Ewangelia premiuje najwyżej. Trzeba o nim opowiedzieć opowiadając niejedno o przełomie lat 1942-1943 w Dachau. Konieczne bowiem jest tło. A nadto ważne jest, by powiedzieć, że na tym tle Heini nie był sam. Na szczęście – nie!

## 1.

Jesień 1942 roku nadeszła w obozie koncentracyjnym Dachau po najstraszliwszym lecie: po lecie upalnych, niekończących się dni pracy więźniów, bezlitośnie pędzonych przez „kapów” do pracy, na jaką „häftlingów” – głodomorów już nie było stać. Padali więc gęsto, zwłaszcza w południe na placu apelowym i, polewani wodą, nie zawsze mogli na to już reagować. Zgonów było tak wiele, a zagonienie od świtu do nocy tak wielkie, że niekiedy o śmierci kogoś bardzo bliskiego, na własnym „bloku” (barak obozowy), wiadomość dochodziła po wielu dniach.

Jesień nie przyniosła nadziei. Przeciwnie, poza „normalnym” obozowym pasmem tortur i szykan, przyszły do obozu „parole” (tak w żargonie obozowym nazywały się przekazywane sobie przez więźniów wiadomości) o doświadczeniach, jakich na więźniach obozu zaczęto dokonywać. „Parole” brzmiały tajemniczo, niewiele przekazywały szczegółów mimo to – siały grozę.

## 2.

Praca w „Kommando Plantage” była uciążliwa zawsze. Jesienią zaś często dokuczał deszcz, łatwo przenikający obozowe drelichy. Drżeliśmy z zimna. Pierwsze listopadowe dni zastały moją grupę (sami duchowni, tylko pod-kapo człowiek świecki, dobry Polak) przy wybieraniu cebulek gladioli. Oczywiście gołymi rękami, z rozmokłej ziemi.

Powrót wieczorem, 10 listopada 1942 roku, „na blok”, przyniósł straszną niespodziankę. Kazano nam ustawić się w szeregu – wyjątkowo w izbie bloku, na dworze bowiem było ciemno – i szczegółowy przegląd rozpoczął nad-



Brama obozu w Dachau.

Fot. archiwum redakcji

kapo rewiru (szpital obozowy), Zimmermann, z zawodu – mówiono – ślusarz, w rewirze często chirurg, a przy tym jeden ze ścisłej czołówki prominentów obozowych. Zimmermann oceniał poszczególnych więźniów przy zastosowaniu sobie jedynie wiadomych kryteriów oceny i numery wybranych więźniów polecał zapisywać.

Wiek wybranych był różny. Byłem wśród nich najmłodszy. Jeszcze kleryk, choć po ukończeniu studiów seminaryjnych. Uprzedzono, że nazajutrz, po porannym apelu, zostaną wszystkie zapisane „numery” wywołane i udadzą się do rewiru. Zimmermann odszedł. Nikt o tym nie mówił, ale wszyscy wiedzieli, że chodzi o doświadczenia. Nastąpiła dziwna cisza. We mnie – dość dosłownie śmiertelna.

Powiernikowi, ks. Stefanowi Biskupskiemu, mojemu seminaryjnemu Profesorowi, w cichych, nieśmiałych słowach powiedziałem o tym, jak widzę swoje położenie. On widział je podobnie. Prosiłem o powiadomienie moich Najbliższych w przypadku śmierci i oddałem mu największy obozowy skarb – 2 czy 3 zasuszone kromki obozowego chleba.

## 3.

Nazajutrz było tak, jak zapowiedziano: apel, wywołanie „numerów” i rewir. W rewirze zaś całodzienne, szczegółowe

badania. Pewnie chodziło o wyeliminowanie najmniej podatnych na doświadczenia więźniów. W rezultacie pozostawiono dwudziestu. Pozostałem wśród dwudziestu.

Ale poza domysłami – nie wiedzieliśmy właściwie nic, nie byliśmy informowani o niczym. – Któż by informował „numery”? Po wszystkich badaniach – izba obozowego rewiru. W izbie – dwudziestu po obozowym zdrowych, skazanych – na co? Zaczęło się losowanie. Więzień Nr 22 829 wyciągnął kartkę z napisem: „18 B”. Nic to nie mówiło. Nic o całej grozie kartki oznaczonej „18 B”. Wprawdzie „18” było tylko kolejną liczbą w naszej grupie dwudziestu, ale „B” oznaczało (dowiedziałem się o tym później) „Biochemisch”, w przeciwstawieniu do „A” – „Alopatisch”. Na takie dziesiątki podzielono grupę. Podział był istotny, gdyż dla przyszłego leczenia w podgrupie „B” stosowano jedynie tabletki, które mogłyby – hipotetycznie – leczyć. Właśnie ewentualnych leczących skutków tych tabletek chciano się doszukać. Natomiast dla grupy „A” dostępny był „Tibatin”, uprzednio wypróbowany, skuteczny lek. Z odnalezionych później protokołów doświadczeń wynikało, że założenia nie tylko się nie potwierdziły, ale metody „leczenia” okazały się wręcz szkodliwe, a liczba zgonów („zejść” – mówiły protokoły) – była zaskakująco wysoka. ➤

## 4.

Po zakończonym losowaniu – kolejny exodus. Dokąd? – Numer 18 musiał na odpowiedź czekać dość długo. Wreszcie wyprowadzono i jego. Po chwili marszu – sala operacyjna i rozkaz: „Połóż się!”. Pierwszy raz w życiu na stole operacyjnym. Zabieg jest krótki. Młody oficer – SS-man boleśnie nakłuwa prawe udo. – Jakiś potężny zastrzyk! Potem napisano: 3 cm<sup>3</sup> flegmony (ropowicy). „Wstać!”

W drodze powrotnej towarzyszy mi ten sam pielęgniarz, Hermann, ale zachowuje się inaczej: jest czujny. Dlaczego? – Po bolesnym zastrzyku nie odczuwam dalszych szczególnych objawów. Wyjaśnienie jednak przychodzi szybko: gdy wchodzimy z powrotem do izby, nie słychać ani jednego słowa, ale słychać jęki. Zabieg dokonany na sali operacyjnej działa szybko. Wkrótce odczuję to sam, natychmiast po powrocie do izby położywszy się, ostatni raz na długie miesiące, na wskazanym mi łóżku, oznaczonym odtąd stale: „18 B”.

Niedługo wszyscy z sali dowiadujemy się o całej grozie: w ciągu niewielu godzin umiera pierwsza ofiara, młody, czeski ksiądz, który, wraz z holenderskim pastorem w jakiś niewiadomy sposób dostał się do naszej grupy, choć mieli ją stanowić wyłącznie księża polscy.

Będzie nas strzegło na zmianę lub równocześnie, dzień i noc, czterech pielęgniarzy (Pfleger – po niemiecku i w języku obozowym też) i ich szef (Oberpfleger). W ten pierwszy wieczór dyżur ma „mój” pielęgniarz, rosły, młody i czerstwy (taki obraz człowieka zjawiał się również w obozie; obraz „prominenta”) i – nade wszystko – życzliwy Hermann. Także i inni okażą się potem życzliwi. Również ci, którzy będą nas regularnie odwiedzać jako laboranci. Wszyscy byli „polityczni”, nosili czerwone trójkąty (winkle), jak my.

## 5.

Gdy Hermann obszedł wszystkie łóżka i podał każdemu przepisany lek, ponownie podszedł do mnie. – Miał ważną sprawę: Jesteś najmłodszy – mówił – zdaje się, że jeszcze nie klecha („Pfaffe”), powiedz mi prawdę: wierzysz w Boga, czy nie? – Mam 19 lat, należę do partii, partia zabrała mi wiarę. Jak to jest?

† Drogi Kazimierzu,  
Biskupie i Bracie!

Dziękuję za list z Sken-  
zgrawem – i załączony tektur:  
księdzów danej misji da-  
chau Nr 22 829

Przepraszam z głębokim  
poczuciem. Wiele postaw  
w książce „Dziękuję sprawa-  
dliwych”.

c. on. fr.



Codice membranaceo della Cappella Giulia (Sec. XVI) - Biblioteca Vaticana

List Jana Pawła II do abp. Majdańskiego.

Ze zbiorów ks. Leona Stępnika

– Niełatwo mówić. Coraz trudniej. I przecież to po niemiecku. (Uczyłem się tego języka nieomal od dzieciństwa i zawsze pozostał dla mnie trudny). Nazajutrz powiedział mi starszy ksiądz z Poznańskiego: Słabo mówisz po niemiecku, dlaczego podjąłeś się takiej trudnej rozmowy? – Ale Hermann przyszedł do mnie. Byłem przekonany, że mam święty obowiązek mówić. Północ zakończyła dyżur Hermann i rozmowę. Zgasło światło. Zostało tylko małe, czerwone, nad drzwiami. Widoczne do dziś.

Oslabłem bardzo. Odczułem to, usiłując wyjść do bardzo bliskiego WC (moje łóżko znajdowało się tuż przy drzwiach). Ale nie bolało tak, bym musiał jęczeć. Był tylko ogromny ubytek sił. Pielęgniarze o tym wiedzieli, więc gdy rano miałem zmienić stanowisko, nieśli ostrożnie – ku mojemu zdziwieniu. Ale gdy na sienniku na chwilę posadzili – było to już zbyt trudne: podskoczyli, by ratować, widząc, że nagle „18 B” traci przytomność.

Do rozmowy z Hermannem wracałem w myślach często. Powrotów słownych już nie było. A jeżeli były – to poza słowami – w jego przyjaznym współczuciu, o które niełatwo było posądzać tego wyrosłego, niemieckiego chłopca, który tak trochę chodził po stacji doświadczałnej, jakby był za wysoki, by widzieć to, na co patrzył. Był najmłodszy. Miał większe prawo niż inni myśleć: po co tu jestem? – Może właśnie tak myślał. I może to właśnie sprawiło wrażenie, że go właściwie tu nie ma. Nie pamiętam też, by się śmiał (cdn).

**KAZIMIERZ MAJDAŃSKI**

\*) Kazimierz Majdański urodził się 1 marca 1916 r. w Małgowie. Aresztowany przez Gestapo spędził pięć lat w obozach hitlerowskich w Sachsenhausen i w Dachau. Był teologiem, w latach 1979-1992 biskupem szczecińsko-kamińskim. Zmarł 29 kwietnia 2007 r. w Łomiankach.



Pałac w Czaczu około 1935 roku.

Fot. Jerzy Żółtowski, ze zbiorów Zofii Żółtowskiej

# Czacz to prawdziwa perła

Rezydencja w Czaczu ma swoją długą historię. W XVII w. po Czackich zamieszkali tam Gajewscy. Spokrewnieni z możną rodziną Opalińskich skorzystali, że na ich dworze przebywał włoski architekt Bonadura i zlecili mu prócz przebudowy kościoła postawienie dla nich pałacu. Zachowało się jeszcze jedyne źródło ukazujące jego styl – fotografia wotywniej złoconej plakiety, która wisiała obok obrazu Matki Bożej za ołtarzem w czackim kościele. Historycy sztuki (p. Ostrowska-Kębtowska) podkreślają unikalny dla Wielkopolski styl pałacu, mającego zewnętrzne schody rozchodzące się w prawo i lewo na wysokości piętra. Pałac nie był duży, na rogach zdobiły go po dwie wieżyczki, zakończone hełmiastym zwieńczeniem. Pałac ten spłonął w końcu XVIII w., Czacz zaś przeszedł w ręce Szoldrskich.

Znany z rozrzutności Wiktor Szoldrski miał prawdopodobnie dużo gustu. Sądzić o tym możemy oglądając przedwojenną żrebiarnię, a za jego czasów stajnię cugową o harmonijnych proporcjach. Pałacu, który zbudował na miejsce spalonego nie znamy z żadnego rysunku, natomiast zachowały się dwie oficyny o pięknych również elewacjach. Środkowa część pałacu spłonęła. Szoldrski zrezygnował z odbudowy i zamieszkania w Czaczu, majątek oddał w dzierżawę. Centralną część do wysokości piętra odbudował dzierżawca, piętro zaś stawiał nowy nabywca, Marcełi Żółtowski. Piętro i dach nosiły cechy prowizorycznych rozwiązań. Czasy były trudne, zniszczenie pańszczyzny..., równocześnie piorun zwałił wieżę kościelną. Marcełi – kolator nie miał za co jej odtworzyć według dawnego barokowego kształtu i też prowizorycznie zakończył.

## 1.

Dopiero w 1911 r. wzięł się do przebudowy wnuk Marcelego Jan, żonaty z Ludwiką Ostrowską, osobą o dużych zdolnościach artystycznych. Trzymał się zasady, by względy estetyczne łączyć z potrzebami życia codziennego i to go zmusiło do wprowadzenia dużych zmian w założeniach architektonicznych i w przeznaczeniu poszczególnych pomieszczeń. Chciał tak poważną inwestycję przeprowadzić jak najskromniejszymi środkami, dlatego wywiadywał się o mało jeszcze znanego a zdolnego architekta. Wskazano mu Andrzejewskiego, który doskonale ukończył studia, lecz jeszcze niczego w życiu nie zbudował. Jan Żółtowski w następujący sposób przedstawił mu swoją koncepcję: „Chcę, żeby mnie pan dobrze zrozumiał, zastosuję więc porównanie: weźmy hotel. Istnieją trzy

rodzaje hoteli: w małym miasteczku będzie to skromny „Hotel zum Ring” (hotel pod pierścieniem). W dużym mieście może to być średnio wystawny „Hotel zum Golden Fisch” (hotel pod złotą rybką) albo luksusowy „Hotel Palast”. Otóż chciałbym, by pan zrobił projekt przebudowy w stylu tego skromniejszego, nie zaś luksusowego”.

Taką opowieść mego ojca słyszałem w naszym leśnym odludziu na Lubelszczyźnie podczas okupacji, natomiast znalazłszy się w 1945 r. w Poznaniu, dostałem od kogoś adres inż. Andrzejewskiego i w końcu u niego się znalazłem. Wrócił od razu do swych wspomnień i przedstawił mi inną ciekawą wersję tej samej sprawy.

„Gdy zjawiłem się u pana ojca z pierwszym projektem pomyślałem, że najlepiej będzie wykazać od razu dwa, w dwóch różnych wersjach: skromniejszej i bardziej



▶ wystawnej. Ojciec przejrzał uważnie moje rysunki, po czym zaniósł je do drugiego pokoju, gdzie siedziała pani Żółtowska i wrócił do mnie. Po chwili przez otwarte drzwi odezwał się jej głos: „Jasiu, ale nie ten pierwszy, tylko ten drugi”. I to zdanie przeważało.

Przeszedł projekt bardziej estetyczny, lecz kosztowniejszy. Wiele spraw należało rozważyć i ewentualnie zmienić. Rodzice zdecydowali, by bramę w zachodnim skrzydle skasować, jak również zrezygnować z podjazdu od południowej strony przez bramę w skrzydle wschodnim. Odtąd zajazd miał być od strony północnej. Miało to poważne konsekwencje: z mrocznego północnego pomieszczenia salon został przeniesiony na słoneczną stronę południową. Wpłynęło to na przeznaczenie pozostałych pokoi. Salon w stosunku do swojej powierzchni wydał się za niski, wówczas zastosowano pomysłowy zabieg: umieszczono na jego suficie stiuk w kształcie dużej elipsy, co wywołuje złudzenie wzroku, iż pokój jest wyższy.

## 2.

Na zewnątrz, na frontonie od strony południowej widnieje herb Żółtowskich „Ogończyk” – strzała na podkowie, od strony południowej herb Rawita – Ostrowskich „Rawicz” przedstawiający „pannę na niedźwiedziu”. Jedną i drugą stronę domu zdobią płaskie pilastry, zakończone jońskimi kapitelami. U góry każdego pilastra umieszczony jest herb jednego z przodków linii męskiej lub żeńskiej. Przedstawiciele partii chcieli w 1945 r. strzaskać wszystkie te herby i byłiby to zrobili, lecz nie znalazły się pod ręką dość długie drabiny i herby ocalały. Dziś są już pod ochroną zabytków.

Pokoje reprezentacyjne mieściły się wszystkie na parterze. Do salonu przylegał pokój jadalny. Zatem siadało tam do stołu do 24 osób. Ścianę przeciwną od okna zajmował potężny kredens gdańskiej roboty, na ścianach wisiły sztychy. Z jadalnego przechodziło się do „nowej” biblioteki, kilkanaście metrów długiej i zawierającej ok. (7000 do 10 000 tomów). Był to owoc pracy trzech pokoleń. Cała jedna ściana była pokryta aż pod sufit półkami pełnymi książek. Mój ojciec nie chciał trzymać ich za szkłem w szafach. Twierdził, że książka przestaje wtedy być żywa



*Ludwika i Michał Żółtowscy na ganku domu w Czaczu w 1937 r.*

*Fot. ze zbiorów Zofii Żółtowskiej*

i służyć. Na najwyższych półkach stały także oprawione podręczniki do nauki prawa, pozostałość po studiach Pradziadka i Dziadka. Nikt do nich nie zaglądał. Nie pamiętam, by kiedyś robiono katalog. Ojciec na pamięć wiedział, gdzie co stoi. Przeważały książki historyczne, szkice historyczne najbardziej znane jak Rollego, Szajnoch, Kubali, Łozińskiego. We francuskim języku cała kolekcja przeszła 20 tomów Thiers'a „L'histoire de consulat et de l'empire”. Mój Ojciec interesował się Napoleonem i miał dziesiątki o nim publikacji, lubił też wszelkie pamiętniki francuskie i niemieckie, nie licząc polskich. W zakresie sztuki biblioteka posiadała zapewne wszystkie istniejące wówczas wydawnictwa albumowe jako

o Matejce, Kossaku, Gierymskim, Siemiradzkim itd. oraz starannie wydawane w Krakowie publikacje i szkice z kolorowymi reprodukcjami. Pamiętam też pięknie ilustrowane albumy z historii Francji, a z czasem już zbiory polskie lub zagraniczne z artystycznymi zdjęciami.

W „starej bibliotece”, domenie mojej Matki książki znajdowały się w szafach. Blisko tysiąc stanowiło biblioteczkę religijną, przeszło tysiąc zbiorów powieści i łatwiejszej literatury służącej młodzieży, domownikom, mieszkańcom wsi. Książki te były w ciągłym ruchu. Rodzice abonowali tygodniki, miesięczniki i kwartalniki w czterech językach. Każdy mógł dobrać sobie to co mu odpowiadało, nawet takie pisma



*Kominek w czackim salonie.*

*Fot. ze zbiorów Zofii Żółtowskiej*

jak „Jeździec i hodowca”, „Łowiec polski” lub angielski „Country Life”. Za „nową” biblioteką znajdowały się dwa pokoje gościnne z łazienką.

### 3.

W sieni wisiały duże portrety przodków więc protoplastów „linii wielkopolskiej” Jana Nepomucena Żółtowskiego z Ujazdu, jego żony i syna, trzech Mycielskich, z których jedna była żoną Marcelego. Wisiał też duży portret bp. Ignacego Krasickiego, gdyż synowa Marcelego była z domu Krasicka. W pokoju obok stała budka telefoniczna z drzewa. Na ścianie wisiała ogromna głowa odyńca z długimi „szablami”, z dwóch stron otoczona wieńcami jeleni. Na ścianach sztychy. U szczytu schodów stały na korytarzu oszklone szafy ze starą bronią. Długie rusznice sąsiadowały z autentycznym garlaczem o lufie w formie lejka, przeznaczonym do strzelania siekańcami. Długi rapier z powstania 1830 r. mojego Pradziadka stanowił cenną pamiątkę rodzinną. W drugiej szafie leżały na półkach stare kusze, niektóre w kościanej oprawie oraz skałkowe ogromne pistolety i różki po prochu.

W tym samym korytarzu stała długa oszklona szafa ze znaleziskami archeologicznymi. Przeważały w niej urny

różnej wielkości, kształtu, barwy i sposobów zdobienia. Pochodziły z rozległego cmentarzyska pogańskiego położonego o pół kilometra od domu. Przerdzewiałe miecze, groty od włóczni, szczyty kolczug czy hełmów znajdowano na jednym z pobliskich pól. Dwa przedmioty z kamienia łupanego lub gładzonego znaleziono na t.zw. szwedzkim szańcu na południe za parkiem.

Z czasem rodzice i dzieci zajęli pokoje na piętrze. Znajdowała się tam ponadto szwalnia, w której reperowano i przerabiano ubrania ze starszych dzieci na młodsze. Wschodnie skrzydło zamieszkiwali domownicy tacy jak osoba prowadząca całe gospodarstwo domowe, ogrodniczka, nauczycielki, krojczyni.

### 4.

Ojciec pani domu Juliusz Rawita – Ostrowski był kolekcjonerem obrazów. Urządzał młodym malarzom wystawy, lecz często skupywał szkice i gotowe prace. Część tych zbiorów znalazła się w Czaczcu i zdołała ściany salonu oraz jednej i drugiej biblioteki. Dla dzieci stanowiło to bezcenną szansę zetknięcia się z prawdziwą sztuką, gdyż mogły oglądać Malczewskiego, obu Kossaków, Boznańską, Gersona, Sie-

strzeniewiczza, Axentowicza, Fałata... W trudnych latach powojennych obrazy te trafiły do muzeów, wiele zrabowali hitlerowcy. Przepadło 5 obrazów malowanych przez moją Matkę różnymi technikami, a jej duży portret (chyba Karpińskiego) oddał ktoś do muzeum. Zginęły też sztychy.

Czacz aż do 1935 r. nie posiadał samochodu. Stajnia cugowa liczyła 10 koni, w tym zwykle 8 klaczy hodowlanych. Obok była wozownia i żrebiarnia na 30-50 źrebiąt.

Wschodnią oficynę zajmowała pralnia – w której wszystko prało się ręcznie. Były tam też mieszkania dla domowników. W zachodniej oficynie mieszkał kamerdyner, przyjaciel nas wszystkich, z liczną rodziną. Kuchnia mieściła się na końcu zachodniego skrzydła. Dochodziło się do niej długim korytarzem. Tam też znajdowała się jadalnia domowników.

Inne były to czasy, inne stosunki i potrzeby społeczne. Takie lub inne układy powstawały i rozwijały się przez stulecia i musiały spełniać określoną rolę. W obecnych czasach stały się anachronizmem.

W wiejskim dworze pokolenia składały to co miały najlepszego, przykładem być może stara broń lub dzieła sztuki, a także biblioteka. W pewnym stopniu spełniały rolę małych muzeów.

Jako ciekawostkę podam, że portret Jana Nepomucena potraktowali czy to oficerowie niemieccy czy Krasnoarmiejcy za cel dla swoich strzałów pistoletów i cały został podziurkowany (około 85 strzałów – dop. Z.Ż.). Znajduje się obecnie w Kanadzie u Jerzego Ż.[Żółtowskiego].

Nigdy Ojciec nam nie mówił o tym skąd pochodziła stara broń, jak również kolekcja ogromnych tureckich fajek i morskiej pianki, znajdująca się na strychu. Mogła wnieść ze sobą pochodziło to ze zbiorów Mycielskich z Tuliszkowa. Marceli likwidował po śmierci ostatniego z tej linii masę spadkową i rodzina Mycielskich chciała mu się za to odwdziżyć.

**MICHAŁ ŻÓŁTOWSKI**

\*) Tekst zmarłego w Laskach  
Autora wydrukowano  
za zgodą jego siostry Zofii  
Żółtowskiej z Brukseli.  
Tytuł pochodzi od redakcji.

3 kwietnia 2011 roku zmarła w wieku 72 lat

## śp. Barbara Kusek

Współwłaścicielka m.in. „Hotelu Pod Kaczorem”  
w Piotrowie Pierwszym

Pochowano ją na cmentarzu parafialnym w Naramowicach  
Wraz z mężem jest laureatką naszej nagrody za rok 2010

U honorowaliśmy Ich statuetką  
„Wiadomości Kościańskich”  
za przedsiębiorczość

Rodzinie i znajomym Zmarłej  
Składamy wyrazy współczucia

Zespoły redakcyjne

„Gazety Kościańskiej” i „Wiadomości Kościańskich”

# Sieroty z Tengeru

**Arusza.** Stutysięczne miasto w Tanzanii. Prawdziwie afrykańska metropolia. Jedna czy dwie ulice w stylu europejskim i dziesiątki kilometrów nie pokrytych asfaltem, ani też nie wybrukowanych niczym ulic i uliczek. Ich pobocza wypełniają parterowe domy i domeczki, dla których określenie „budy” byłoby cokolwiek na wyrost. Pomiędzy nimi tłumy ludzi, siedzących i martwym wzrokiem wypatrujących czegoś tam lub idących ku jakiemuś bliżej nieokreślonymu celowi. Prawie wszystkie kobiety z tobołami na głowach. Na równi z ludźmi zapełniają ulice kury i kozy, krowa i osioł nie należy do rzadkości. Czasem przemknie, prawie zawsze rozklekotany samochód, trąbieniem torując sobie miejsce... Temperatura sięga trzydziestu stopni. Niebo zakryte chmurami. Parno i duszno.

Ponoć Arusza (jak to stwierdzić? Cyrklem czy linijką?) to środek Afryki. W każdym bądź razie tak piszą w przewodnikach. Wynika to też ze znajdującego się w centrum miasta pomnika. Wylądowałem tu w końcu października ubiegłego roku. Co mnie tam sprawdziło? Czy znajdujące się w pobliżu Kilimandżaro? To też. Cóż bowiem może być piękniejszego aniżeli widok ośnieżonego największego szczytu Afryki? Jednak w te przedlistopadowe dni najważniejszym celem pobytu w Aruszy była dla mnie niezbyt odległa, zaledwie kilka kilometrów, wioska o nazwie Tengeru.

## NKWD puka do drzwi

Zanim napiszę o tej wsi, kilka słów o Stanisławie Paluchu. Ile lat miał Staś, gdy w mroźną noc na 10 lutego 1940 r. do drzwi domu jego rodziców załomotały kolby funkcjonariuszy NKWD? Jak to mówiono wówczas szedł mu dziewiąty rok. Dorastał na polskich kresach z pięciorgiem rodzeństwa: trzema siostrami i dwoma braćmi. No i rodzicami. Wszystkich ich, najpierw saniami, a po dotarciu do stacji kolejowej



Tablica pamiątkowa cmentarza.

Fot. <http://tanzaniaart.wordpress.com>

wej w bydlęcym wagonie, wywieziono na Syberię. W tej „podróży” zmarł najstarszy brat Stasia. Nie jest pewny czy pociąg wówczas stanął, czy też ciało brata po prostu wyrzucono w śnieżne zasy.

Było ciężko, rodzina Paluchów o głodzie i chłdzie dotrwała jednak do amnestii ogłoszonej w sierpniu 1941 r. Już tylko w siedmioro „przeniosła” się do Uzbekistanu. Znowu było głodno i strasznie. Dla siedemdziesięcioletniej Armii Polskiej Rosjanie przydzielali 26 tysięcy skąpych racji żywnościowych. Z nich utrzymać jeszcze trzeba było wiele tysięcy cywilów zgromadzonych przy wojsku. No i klimat Azji. Mroźne zimy i gorące, wilgotne lata. A mieszkali albo w namiotach, albo w ziemiankach czy lepiankach. Śmiertelne zniwo zbierały: malaria, czerwonka, błonica, dur brzuszny i tyfus. Cóż więc dziwnego, że w tych warunkach szybko zmarły dwie starsze siostry Stasia. Ojciec pewny, że gdy wstąpi do armii łatwiej wydobędzie rodzinę z tych nieludzkich warunków bytowania odszedł i ślad po nim zaginął. Na dodatek zachorował młodszy brat Stasia i znalazł się w szpitalu

w pobliskim miasteczku. Jakiegoś dnia matka Stasia postanowiła odwiedzić chore dziecko i pozostawiając dziesięcioletniego Stasia z młodszą, zaledwie trzyletnią siostrą Bronisławą, zapowiedziała mu, że jeżeli nie wróci w ciągu dwóch dni ma wziąć siostrę i dotrzeć do polskiego sierocińca w odległym o czterdzieści kilometrów Taszkencie. No i nie wróciła. Staś zabrał więc siostrzyczkę i ruszył szukać sierocińca. Nie miał w ogóle pojęcia, w którą stronę iść. Wypytywał spotkanych o drogę i trzymając za rękę Bronkę szedł i szedł. I doszedł.

## Utracone dzieciństwo

Niedługo potem sierociniec ewakuowano do Iranu. Przeprawa przez Morze Kaspijskie łatwą także nie była. Na każdym statku ludzi słoczono na pokładzie jak sardynki w puszcze. Brakowało wody. Warunki sanitarne były straszne. Ubikację stanowiła deska wystająca za burtę. Tych którzy marli wyrzucano w morze. Staś dotarł z siostrą do Pahlawi. ➤

▶ Nastąpiło tam odswżawianie i lekarskie badania. Wszystkich strzyżono na tak zwane „zero”. Stare ubrania palono. Mieszkali pod namiotami. Znowu był kłopot z jedzeniem. Tak jak w Rosji chronicznie było go brak, tak tu był jego nadmiar. Dzieci z sierocińców szybko ruszyły w dalszą drogę. Staś z Bronką i całym sierocińcem do Indii. W Karaczi Bronka zachorowała i umieszczono ją w szpitalu. Dzieci z sierocińca nie mogły czekać na jej wyzdrowienie. Ruszyły w dalszą drogę. Staś nie chciał pozostawić siostrzyczki samej. Też został. Przyłączył się do stacjonujących tam żołnierzy brytyjskich. Opiekowali się nim. Jadał z nimi. Jeden z Brytyjczyków chciał go nawet adoptować. Staś jednak nie zgodził się. Bronka wyzdrowiała i wówczas ruszyli dalej. Zostali przyłączeni do grupy, którą skierowano do sierocińca w Kolhapurze. W 1947 r. przetransportowano ich do Afryki, właśnie do obozu dla polskich dzieci we wsi Tengeru, który urządzili Brytyjczycy.

Dopiero tu tak naprawdę odzyskali utracone przed laty dzieciństwo. Byli bezpieczni, najedzeni, z zapewnioną lekarską opieką. Mogli się uczyć, co z ochotą czynili. Staś ukończył średnią szkołę. Obóz znajdował się na sporych rozmiarów terenie. Dzieci mieszkaly w chatach. Pośrodku znajdował się kościół. Były szkoły, sklepy, biura administracji no i szpital. Dalej rozpościerała się dżungla, ulubione miejsce zabaw chłopców odkrywających w sobie Tarzana. A nad wszystkim górował dawno wygasły wulkan Meru.

Ile było w szczytowym okresie w obozie w Tengeru polskich dzieci? Prawie pięć tysięcy. W miarę oddalania się od czasów wojny rozbiegły się po świecie. Staś z dużą grupą dzieci wylądował w Kanadzie. Inni osiedlili się w Australii, w Unii Południowej Afryki, Wielkiej Brytanii... Niektórzy pozostali na terenie dzisiejszej Tanzanii i Kenii.

## Mogiłki wśród magnolii

Cóż dziś pozostało z obozu polskich dzieci? Prawie nic. Trudno w ogóle odnaleźć miejsce, gdzie się znajdował. Nie ma po nim żadnego śladu. Z jednym wyjątkiem. Jest polski cmentarz. Maleńki,



Fragment cmentarza w Tengeru.

Fot. <http://tanzaniaart.wordpress.com>

otoczony murem. Gdzieś przy końcu rozległej wioski. Po polnych drogach, pełnych wybojów, wrażenie robi obsadzona magnoliami i rododendronami oraz jakimiś afrykańskimi kwiatami i ozdobnymi krzewami (których nazw oczywiście nie znam), schłodna dróżka wiodąca do bramy cmentarza. Sam cmentarz, otoczony szarym murem, ze wszech miar zadbane. Każdy grób posiada tablicę wieszczącą kto w nim spoczywa. Na tablicach katolickie krzyże. Na jednym czy dwóch grobach krzyże prawosławne. Kilka grobów z gwiazdą Dawida. I wszędzie polskie nazwiska. Groby z lat czterdziestych i następnych dziesięcioleci. Także całkiem nowe. Tu chowane są, zgodnie ze swą wolą, te z polskich dzieci które pozostały w Tanzanii.

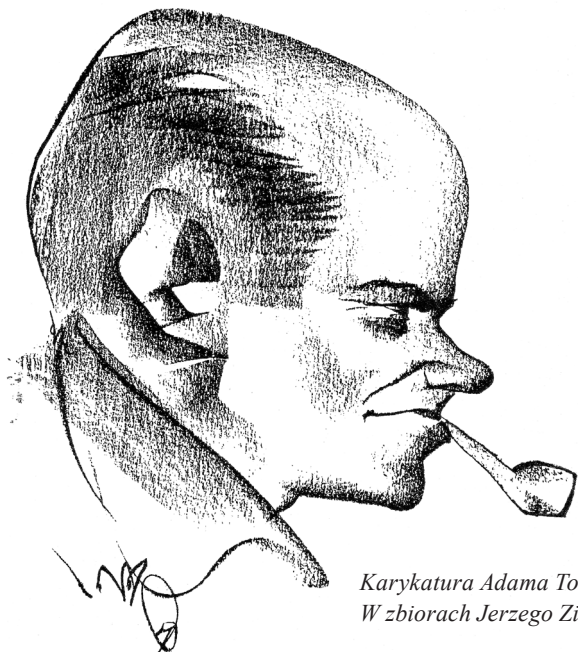
Chodząc w ciszy po wypiełgnowanych ścieżkach pomiędzy grobami, fotografując mogiły, czytając, że Leopold Gawlik zmarł tu w wieku trzech lat, Wiesiu Tałatkowski w wieku siedmiu lat, Wacek Ulkowski jako trzynastoletek, podobnie Walerka Miara, Edmund Plis umierał mając lat 14, tyleż samo Józek Wolsza, tam znowu mogiła siedemnastoletniej Jadwigi Gołąb zmarłej w 1944 roku, trochę dalej grób Maksymiliana Misiury, który umierał w tym samym roku mając lat osiemnaście, czułem jak coś ścisną mnie za gardło. A przecież jeszcze są groby, tych którzy

prawdopodobnie urodzili się w obozie i tu też umierali – Lucyna Ciacia, Lilia Januszkiewicz, Józef Boltryk, Józef Krupa, Geniu Brochocki i dalsi, mogli jest prawie sto pięćdziesiąt. Wszyscy oni i wielu jeszcze innych znaleźli spoczynek w spalonej słońcem afrykańskiej ziemi, pozostawiając na boku tamto moje wrzucenie zadawałem sobie ciągle pytanie kóż tak pięknie dba o ten kawałek ziemi związany z Polską?

Dziwiło mnie też poczynione spostrzeżenie, że część grobów jakby całkiem świeżo była pomalowana na białe. Kto dba okazało się szybko. Bieżące utrzymanie cmentarza spoczywa na mieszkającej tuż obok niego murzyńskiej rodzinie. To ich ręką zawdzięczamy i ścieżki, i brak chwastów, kwiaty, krzewy ozdobne... Zapewne są w jakiś tam sposób wynagradzani przez naszą ambasadę. Każdą pracę jednak można wykonywać gorzej lub lepiej. Oni robią to pierwszorzędnie. A świeżo pomalowane groby? I to się wyjaśniło. Krótko przed moim tam przybyciem zajmowali się tym mieszkający w okolicy Aruszy przedstawiciele Polonii pod wodzą polskiego księdza.

**ZDZISŁAW WOJTCZAK**

\*) Dzieje Stanisława Palucha przedstawiłem na podstawie jego wspomnień w książce Lynne Taylor „Polskie sieroty z Tengeru”.



Karykatura Adama Tomaszewskiego.  
W zbiorach Jerzego Zielonki

# Gorzko pachną piołuny (I)

**P**rzywieźli Francuzów! Kiedy gruchnęło o transporcie na bocznicę pod Kurzagórą, wyległo całe miasto. Z bydlęcych wyganiaли zabiedzonych i brudnych ludzi, ustawiali w długą kolumnę po swemu nie szczędząc wymyślań i wrzasków.

Prowadzili ich spod rampy, obok młyna pana Kubowicza, przez przejazd kolejowy ku Alejom Kościuszki, wśród szpalerów ludności polskiej i wiwatujących Niemców. Do obwarowanej kolczastym drutem Strzelnicy, do Szkoły Podstawowej. Zamienionej w tymczasowy obóz.

Szło ich ze dwa tysiące. Obwieszonych kocami, szmatami, blaszankami. Straszna to rzecz niewola. Inaczej, zupełnie inaczej wyobraźliśmy sobie owych „poilus” niezwykłej do niedawna Francji. Podobne do polskich mundury, rogate furażerki, owijające: walili bezładnie, w opuszczonych głowami, ani im w głowie równy krok, równanie i krycie. Rozbity, pozbawiony złudzeń żołnierz, troszczący się już tylko o jedzenie, spanie, dach nad głową, złagodzenie twardej doli niewolnika. Okazało się jednak, że gorycz i zawód podsuwały nam zbyt ostre sądy o tym piechurze zwyciężonym wprawdzie, ale przecie nie pogodzonego do cna z klęską. Bo nagle ktoś krzyknął z grupy Polaków „Vive la France!” Poszedł szmer po szeregach. Buty uderzyły raźniej o bruki, podniosły się głowy, rozkwitły twarze uśmiechami. I zaraz „Vive la Pologne héroïque!” Le-

ciały już z chodników papierosy i chleb, łapali w locie, posyłali całusy dziewczętom: „A bas les Boches!” „Vive l’Angleterre!”

Przypadli konwojenci, rozwrzeszczeli się feldfeble, pojaśniało od bagnetów, szczęką repetowana broń. Jeniecka gromada odpowiedziała śmiechem, gwizdami, soczystym argot... Zatrzymano czoło pochodu, wywalił któryś w górę cały magazyn, poszły w ruch kolby. Równocześnie żandarmi wpadli z bykowcami w gromadę Polaków. Oczyszczono w mig ulice, aresztowano kilkanaście osób, długo jeszcze rozwścieczeni Niemcy uganiaли się po mieście.

Wspólna niedola wnet związała francuskich jeńców z polską ludnością. Pomagano sobie wzajemnie, dzielono żywnością, przekazywano wieści. Znacznie później kiedy przydzielą jeńców do okolicznych majątków i rozprowadzą „komenderówkami” po powiecie, kiedy obluźnią się rygory, kiedy nadejdą paczki Czerwonego Krzyża i w dłoniach jenieckich znajdą się papierosy, czekolada, kawa, potężne środki w walce z niemiecką praworządnością – utwierdzą się przyjaźnie i sympatie. I nawet powojenne małżeństwa staną się owocem pobytu Francuzów w Wielkopolsce.

Kwitną lipy. Kwitną tarki i głogi. Upalne słońce zagraża warzywom i kwiatom na grządkach, od rana polewaczki zlewają spieczoną ziemię.

Jestem teraz tragarzem i wbrew powszechnej opinii, że „taszczenie ciężarów nie letki to chleba końdek”, wcale

nie narzekam. Wśród specjalistów od przeprowadzek, dygowania skrzyń i worów, manewrowania fortepianami i bufetami po ślimacznicach klatek schodowych, znalazł się zdaniem Ochli i Nalewaja – sam „element”.

Wielgosz, Olek, Ryński, Stamm, Włodarkiewicz – wspomniały niegdyś bramkarz kościańskiej „Unii”, Mundek – kolejarz, Chojnacki, kilku dawnych bokserów – osiłków miejscowego „Sokoła”. Kieruje nami „Migdał”. Był tu chłop przed wojną nauczycielem, harcerzem, społecznym działaczem, aż nadto powodów by zainteresowali się nim panowie z wiadomego urzędu.

Niezmierny tupet, dobra znajomość niemieckiego, szczęśliwy zbieg (w decydującym momencie napotkał wyjątkowego tumana za biurkiem) pomogły Stefanowi M. wykołować samo Gestapo. Wręczono mu urzędowy papier z olbrzymią „gapa”, stwierdzający ponad wszelkie wątpliwości, że urodził się w Rumunii, czyli w zaprzyjaźnionym, wiążącym swój los z losami Rzeszy, kraju. „Mo ci wywijas glika” – komentowali starzy robociarze, przyglądając się spod oka „Migdałowym” sztuczkom. „Taki łon Rumun jak jo ksiundz proboszcz”.

Rumun nie Rumun, miał chłopak spryt, zaradność, zdolność do improwizacji, nade wszystko zaś wyobraźnię. Czego nie opowiadał żonom urzędniczków wyniesionych nagle między dygnitarze, ile paczek „juno” kawałów szpeku, słoików z konfiturami wydebił od grubych, zaniedbanych Bał- ➤

tek, słuchających z lubością duserów wyszczekanego okularowca! Kiedy my w pocie czoła, z hukiem wyciąganych mebli obijaliśmy ściany po półpiętrach, samozwańczy „kierownik” rozpywał się w uśmiechach, rozdawał garściami, chwalił europejskość gustów właścicieli mieszkania, gładził pieski, wynosząc pod niebiosy zalety pierwszego lepszego jebusia, rozpywał się nad urodą dziewczynek, troszczył się o zdrowie Gnädige Frau, czaruś, mistrz koronkowej roboty, wynalazca sposobów subtelnego i niezawodnego. Sprawiedliwości gwoli – dbał o nas nadzwyczajnie. Jak sztukmistrz z wysłużonego cylindra wyciągał od swych rozmówców żarcie i palenie, przedłużał sztucznie czas pracy, krył sprytnie, gdy któryś urwał się na miasto, wynajdywał nieoczekiwane trudności, robotę kolegów (boć przecie nie własną) rzetelnie szanował.

Rzecz jasna, z nami, robotami, niewolnikami, podludźmi – nie gadanoby wcale. Migdałowa płynna niemczyzna, nobliwa sylwetka, promienny uśmiech, a nade wszystko mityczna owa Rumunia cała w słońcu, kiściach winogron, rumieńcach moreli – jednak robiły swoje. „Sympatyczny chłopak” zwierzała się później taka gneciucha sąsiadce. „O i jakby nie było” – wybiegała naprzeciw zgorszonym spojrzeniom – „przecie Rumun – nasz człowiek gewiss...”

Trafiały się jednak i dnie kiedy grzbieity napinały się morderczym wysiłkiem a nerwy naciągały się jak struny. Kiedy załadowane górami mebli platformy zatrzymywały się przed domami ludzi z N.S.D.A.P., pracowało się pod czujnym okiem gestapówek i wścibskich dzieciaków, w obecności jakiego żandarma czy SS-mana poganiającego bez przerwy, nie rzadko i pięścią albo kopniakiem. W takich wypadkach nawet „Migdał” łapał się za co popadło. Pilnowaliśmy się bardzo aby nie obtłuc gdzie po drodze politur, nie zadrapać fornirów; za to zawsze czekało dotkliwie bicie. Staraliśmy się tedy jak najszybciej wyładować graty i wynieść się spod oka niebezpiecznego i niewdzięcznego klienta.

Zespół był zgrany, rozumiano się bez słów. Jak perszerony w dobrze zgranym zaprzęgu. Morderczy wysiłek? Praca tragarzy to jak to siano na Walkowej łące. Przez pół dnia zepknie się szwabskie dobro na kupki, przez drugie pół dnia kupki się rozśwignie...

Rozebrani do pasa, opaleni jak Cyganie, porozsiadaliśmy się na kupach gruzu i czyścimy cegłę. Grupę tragarzy rozpedzono na cztery strony świata i to wcale nie Niemcy. Po prostu któregoś dzionka przyłapał nas Nalewaj w jakimś pustym mieszkaniu, gdzie sabotowaliśmy beczelnie cały wojenny wysiłek Trzeciej Rzeszy.

„Wstydu nie macie – sztorcował najprościejszego rozeznania. Z oka was spuścić nie mogę, cingiem aby brynczyć, mamrotać, zagoniać. Rozuma ni mosz? Nie wiesz co cię czeka za takie barłożenie? Z Niymcym szpasu ni ma... Jezusie Śwenty – sztorcował – cosik mnie tkneno jak żem szed do gazowni, nolepi mówię se, zajrzę... A one se tu świadczo jak kumy przy arbacie, jak leniwe dziewczysko na pańskim, co jeszcze szefli nie wybrała już se przysiedła w bruździe i tylko patrzy by se wypoczena. Do roboty łążęgi, uwijać mi się, zaro, w tyj chwili!”

Polecał do Ochli, pogadał z „Cicikiem”, uchwalono zgodnie że należy natychmiast zlikwidować nieodpowiedzialne towarzystwo „Jak te dzieciary bawiące się ogniem i przecie cheba wszystkich klepek nie mające w porzundku”.

W rezultacie starsi, stateczni robotnicy wożą szwabskie meble. A my, zawsze pod nadzorem, zawsze na oku, pucujemy cegłę. Niemiecka systematyczność i dalekowzroczne plany kazały wyburzyć rudery, porozbierać murowane parkany, zwalić przy okazji i niejedną porządną dom, który z tych czy innych względów nie podobał się nowemu porządkowi. Na plac przed gazownią zwieziono stery gruzu i polecono nam ów gruz zmienić w nowy, przydatny do użytku budulec. Siedzi się wygodnie na złożonym we czworo worku i puk-puk-puk. Od 8 rano do piątej po południu. Nuda? Ależ skąd!

Najpierw niemieckie panny z dawnych domów urzędniczych idą do pracy na 8.30. Dla męskich oczu widoki wcale atrakcyjne, jak oglądanie pięknie wydanej pornografii. Przystanąła w pobliżu wysoka Fräulein, w jasnym kostiumie, dobrze zbudowana, porodna; pochyliła się, poprawia coś przy pantofelku. Długie, niekończące się nogi w futerałe błyszczących pończoch, smugi podwiązek pełzają spod ciasno opinającej biodra spódnicy, nie krępuje się wcale taka Brunhilda. Polscy robotnicy? Niech

patrz, przecie to nie ludzie. Wzięły się teraz pod rękę z towarzyszką, wiotką, zgrabną blondynką, wcale jak na Niemkę nietypową, z powodzeniem mogłaby uchodzić za Polkę, Francuzkę, Belgijkę. Ale i to dobra kurwa. Prowadzają się często z czarniawym oficerem SS, z oddziałów Totenkopf Verbands, z trupimi czaszkami na czapkach. Niechno jaka polska twarz nie spodoba się... Burzy się krew SS-mana, lecą zęby, łamią się nosy, jak na ringu strzelają sierpy i podbródki. Wiotka Madonna staje na uboczu, temperuje niby swego mężczyznę „schon genug Seppi, schon genug” ale klaszcze przy tym w łapki i śmieje się perłście.

Po sekretarkach i maszynistkach – szefowie i koledzy urzędnicy. Rajchsdojczy, foksy, Bałty, komisarzyczni zarządcy, Angestellte, funkcjonariusze, agenci, policaje w cywilu, grubasy i chudzielce, kuszykające kaleki, karły z krzywymi ramionami. Jedni w mundurach, inni w jasnych gabardynach i samodziałach, inni jeszcze – śmieszne ich harcerzyki – w kusych lederhosach, zielonych szelkach spinających koszule, w białych pończochach, w kapelutkach z szarotką i borsuczym pędzelkiem. Nadyma ci to się puszy, raz po raz w partyjnym pozdrowieniu wyrzuca w powietrze upierścienione łapy, macha tekami ze świńskiej skóry, co nadają się doskonale do ukrycia doraźnej łapówki czy choćby kila szpeku kupionego za fenigi.

Około dziesiątej kiedy polskie gospodynie wróciły już do domu z mizernymi zakupami, garstką szpinaku, wiązka marchwi, niemieckie kobiety otoczone dziećmi i pieskami obchodzą miejscowe Bäckerei, Konditorei, Fleischerei. Obsługiwane w pełnej skaz niemczyźnie przez Treuhenderów z Kowna, Tallina i Rygi. Podobnie jak klientki panowie ci nie przyzwyczaili się jeszcze do niezwykłości nowych warunków, ciągle olśniewa ich bogactwo towarów, które przelewa im się przez ręce. Bo też żyć i nie umierać w tym mlekiem i miodem opływającym Kraju Warty, gdzie z łaski niemieckiego boga i Adolfa Hitlera przyszło im mieszkać i budować nowe tysiąclecie zwycięskiej Germanii.

Wracają powoli, spotniałe, dyszące pod ciężarem siatek i koszyków wypchanych drobiem, mięsem i wędlinami, białym pieczywem, masłem, butlami sznapsa i wina. (cdn)

ADAM TOMASZEWSKI



*Kościan - Starostwo*

Siedziba starostwa powiatowego w Kościanie.

Pocztówka w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dr Henryka Florkowskiego w Kościanie

# Blask przyćmiły łuny pożarów, wojen i klęsk (I)

Dwaj dziennikarze poznańscy red. red. Ziemski i Piechocki zjechali Wielkopolskę, a swoje spostrzeżenia zawarli w publikacji pt. „Wszereż i wzdłuż Ziemi Wielkopolskiej”, wydanej w 1934 roku. W tekście zachowano pisownię oryginału.

## W drodze

Ostatnia lustracja maszyny, która ma nas zawieść do wszystkich ciekawych zakątków ziemi kościańskiej. Potem podejrzliwie robiony wywiad oczyma po niebie. I tu i tam w porządku. Tu odświętnie świeci bak benzynowy a na błękitnie pogodnego nieba – blade majowe słońce. Za chwilę grzmi już motor, giną za nami ulice i zakręty, ostatni przystanek tramwajowy, Górczyn, podmiejskie wille, potem parę biednych domków i długa perspektywa szosy, której kawały stale zostawiamy za sobą, ale która stale wyrasta przed

oczyma dalekimi zwięzającymi się od-cinkami.

Z boku uderza w nas coraz silniej wiatr. Spoglądamy na niebo. Jest już mocno zachmurzone. Oto znowu chmura przepłynęła, przysłaniając na długą chwilę słońce.

Minęliśmy już Komorniki, miejscowość o nazwie pełnej akcentów. Ale szczęśliwie załatwienie się z „komornikami” to ostatni nasz sukces. Bo oto słońca już niema. Właściwie to ono jest i prześwituje słabo przez ciężkie, szare chmury. Wiatr jest coraz silniejszy. Jesz-

cze raz zabłysły pola i szosa w słonecznym blasku, potem znów szaro; pierwsze ciężkie, jak lzy, krople deszczu zaczął nam siepać w twarz – boczny wiatr.

Deszcz nabiera coraz więcej na sile. Skończyła się na domiar nieszczęścia defilada drzew po obu bokach szosy. Chłuba naszej ziemi wielkopolskiej – jałonie i wiśnie przy drodze urwały się nagle, jakby za zjawieniem się pierwszych kropli deszczu.

Zmoczeni sami, spoglądamy z boku przez zasłonę deszczu na moknący piękny park. Przelat- ➤



▶ tujemy właśnie przez Głuchowo. Mignął nam przed oczyma piękny pałac głuchowski hr. Żółtowskiego, domy i domki Głuchowa, potem droga rozstajna. Deszcz leje teraz uparcie i obficie. Patrzymy na zmieniony zupełnie świat po bokach szosy. Rozmokły, szary i zamglony. Pociaszamy się balsamem przysłowia:

„Mokry maj, będzie żytko, jakby gaj”. A żytko rzeczywiście rośnie już w zielony falujący gaj. Motor grzmi rytmicznie. Mokry maj, żytko gaj...

Ale oto nadchodzi kłęska. Po twarzy bić nas teraz zaczyna grubo-ziarnisty grad. Bije coraz boleśniej. Stop. Za chwilę stoimy już bezpiecznie w suchym kręgu ziemi pod świerkiem i patrzymy jak grad słabnąć zaczyna, jak i deszcz traci na sile. A nawet na chwilę ukazują się słońce.

Jedziemy. Mijamy Kawczyn, kawałek szosy, zostawiamy z boku wieżę miejskich wodociągów kościańskich, przejeżdżamy przez fatalny kawałek drogi i wjeżdżamy w ulicę kościańskiego grodu.

### „Iwan” i towarzysze...

Zwiedzamy fabrykę likierów p. Czajki.

Pomówimy z p. radcą, jako właścicielem i kierownikiem kilku poważnych miejscowych placówek handlu i przemysłu.

– Więc najpierw zaczniemy od fabryki likierów, koniaków i wódek. Fabryka istnieje od r. 1861, w moim posiadaniu od r. 1920 a więc 13 lat. Zaletą najważniejszą wyrobów naszych jest to, że niczego nie wyrabiamy na eterach, tylko przy użyciu naturalnych, najszlachetniejszych składników, więc owoców, korzeni roślin, soków owocowych, cukru rafinowanego, wody dystylowanej i najlepszego rektyfikowanego spirytusu. Niema więc nigdzie miejsca na wkaradnięcie się jakiegoś szkodliwego dla zdrowia składnika.

– Dzięki tym zaletom mogą wyroby fabryki P. Radyca iść zagranicę.

– Fabryka nasza eksportowała dużo zagranicę już przed wojną, proszę pana. Linję tę usiłowałam i ja utrzymać. I rzeczywiście wyroby nasze, choć w mniejszej teraz ilości idą zagranicę.

– Na pewno z tych 68 gatunków likierów, koniaków i wódek, które fabryka P. Prezesa wyrabia, niektóre z nich

cieszą się specjalnymi względami ludzi pijących.

– A właśnie takim ulubieńcem, jest ten oto likier „Iwan” czyli likier gorzki, żołądkowy. Jak panowie odczujecie, jest on niesłychanie miły w smaku, nie upija, a działa świetnie na żołądek i trawienie. Jest to „pupilek” naszych klientów.

A w ogóle moje wyroby docierają do wszystkich zakątków Polski. W większych zaś ośrodkach mam własne przedstawicielstwa.

– Może skolei zechce nam Pan Radca powiedzieć kilka słów o innych swych zaletach.

– Mamy więc pozatem, założoną już przezemnie w r. 1923 specjalna fabrykę win owocowych, która szła nadzwyczajnie i produkowała b. dużo do r. 1931. Podwyżka jednak podatku konsumpcyjnego zahamowała gwałtownie rozwój tego oddziału.

Trzecim działem jest wytłocznia soków owocowych, a wreszcie mamy także hurtownię towarów kolonialnych i korzennych.

– Więc dorobek życiowy P. Radyca jest naprawdę wielki. – Zwłaszcza, jeżeli się uwzględni skromne środki, z jakimi zacząłem w roku 1909.

Po dłuższej jeszcze chwili rozmowy przy kieliszku naprawdę świetnego „Iwana” przechodzimy zobaczyć, jak on i jego towarzysze przychodzą na świat. Wchodzimy więc do „składnicy likierów nierozlanych”. Stoją tu wielkie kadzie, a na ich czarnych frontonach napisy: tu frywolna „Frou-Frou”, tam znowu barwna „Jarzębinka”.

Przechodzimy do sali, która stanowi „ciąg dalszy”. Jest to już „chleb codzienny” (tamte były to likiery lepsze), a więc pyszni się tu na czołowym miejscu „Iwan”, opodal beczka „Curacao Blanc” i.t.d.

Teraz znowu wchodzimy do sali, gdzie stoją przyrządy do rozlewania i mierzenia likierów. Tam się je znowu etykietuje. W tamtej piwnicy stoją beczki ze spirytusem. A tutaj już pakuje się je i wysyła w świat.

Jedziemy teraz do innego budynku. Jest to fabryka win owocowych. Idziemy przez „wytłocznię”. Tu w dalszej ubikacji odbywa się fermentacja. Są to półfabrykaty, ale jest to właściwie wino, gotowe, które trzeba będzie jeszcze przefiltrować. I znowu czytamy różnorodne napisy, mówiące o różnaitości wyrabianych tu gatunków.

### Plantami nad kanałem

Zapadł już wieczór. Oświetlonemi ulicami przechodzą teraz grupy mieszkańców kościańskich, którzy korzystając ze „spokojnych niebios” (przestało już padać) wybierają się na wieczorny spacer. Miejscem spacerów są miejskie planty nad kanałem łączącym Wartę z Obrą. Kanał ten przepływa przez miasto w kilku miejscach. Ujęty w wysokie brzegi wije się w dole, u stóp spacerujących alejami przechodniów.

Odeszliśmy już daleko od rynku i głównej ulicy. Tutaj jest cicho. Na tej zadrzewionej ziemi, która była kiedyś nagim, ale twardym obronnym szańcem, stał przed wielu laty w roku pańskim 1655 bohaterski starosta Krzysztof Żegocki i z hufczykiem niewielkim powstańców tłukł na łeb na szyję szwedzkich najeźdźców, którzy się odsieczy pana Krzysztofa wcale nie spodziewali.

Były to wielkie chwile w dziejach Kościana. „Straszna wojna szwedzka r. 1655 dała mieszkańcom kościańskim okazję odebrania chrztu rycerskiego: im pierwszym w całej Wielkopolsce użyczył los sposobności stawienia się na murach grodu kościańskiego celem jego obrony, a gdy gród padł, waleczni mieszczanie pierwszymi byli, którzy sztandar odwetu przeciw najeźdźcy podnieśli, walcząc szczęśliwie przy boku bohaterskiego Żegockiego. Krwią, obficie strumieniami się lejącą, okupili sobie miano prawdziwych Ojczyzny synów, a godnych przywilejów, które im królowie nadali”. (Kl. Koehler).

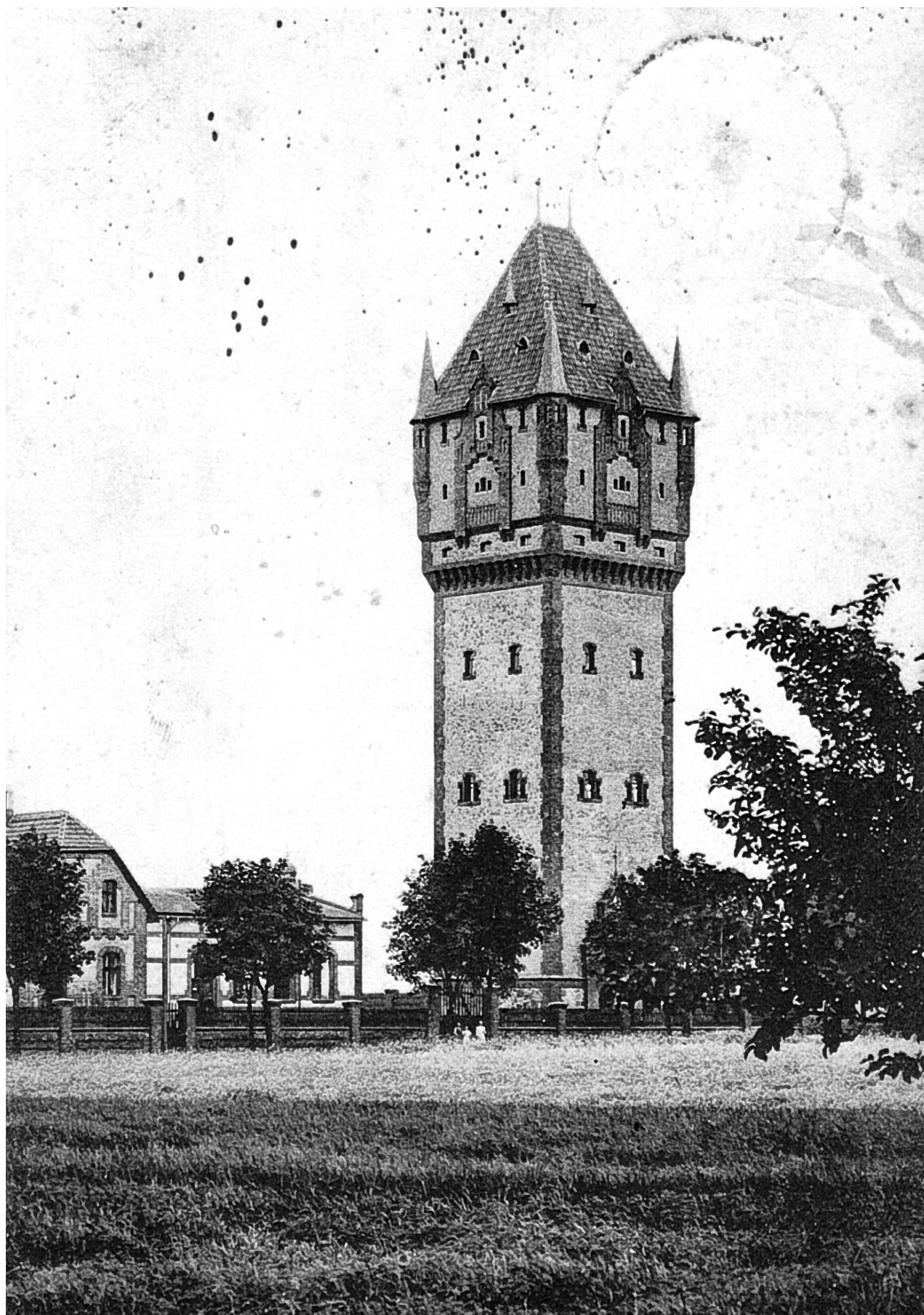
Znikł już gród warowny, niema i zamku kościańskiego; na resztkach północnych wałów szumią teraz cicho drzewa, pod którymi przechadzają się dumni z przeszłości i zatroskani przyszłością mieszczanie kościańscy.

Wracamy do miasta. Jest już noc.

### Po sześciu latach służby

Rozmowa z p. starostą Narajewskim.

Nazajutrz rano składamy wizytę staroście powiatu kościańskiego p. Narajewskiemu. Po sześciu latach i 5 miesiącach umiejętnego kierowania gospodarką i losami kościańskiego powiatu jedzie p. starosta Narajewski na inną placówkę pracy starościńskiej. Cenionemu b. wysoko przez miejscowe społeczeństwo dla wielkich zalet umysłu i serca p. staroście towarzyszy przy odjeździe powszechny żal mieszkańców.



*Miejski wodociąg w Kościanie.*

*Pocztówka w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie*

– Jaka jest, Panie Starosto, struktura polityczna w powiecie i jakie zaszły w niej zmiany za czasów Pana Starosty?

– Rzeczy uległy bardzo poważnej zmianie. Społeczeństwo całego powiatu doceniając wysiłki obecnego rządu w kierunku utrzymania poziomu gospodarczego, widząc i doceniając wartość niezmienną, stałej wartości polskiego złotego, w coraz większym stopniu jednoczy się pod hasłem wspólnej pracy dla Państwa.

Jeśli chodzi o widoczne wyrazy tego, to takim znamienym symptomem było tu niezwykle uroczyste i przy pełnym zjednoczeniu całego społeczeństwa obchodzone w ubiegłym roku Imieniny P. Prezydenta.

Co do struktury gospodarczej, to stwierdzić należy, że powiat kościański ma charakter wybitnie rolniczy i dlatego, kryzys, który się tak fatalnie odbił na rolnictwie, wyrządził tu pewne спустoszenia. Do przetrwania tych ciężkich chwil pomogło nam stosowanie odpowiedniej metody podatkowej: nie przeciążanie podatnika i względnie tegoż traktowanie w granicach możliwości.

Dowodem tu może być porównanie liczby majątków, znajdujących się pod nadzorem czy w upadłości w naszym czy innym powiecie.

Oczywiście wpłynęła tu nie tylko odpowiednia polityka podatkowo-egzekucyjna, ale także fakt, że ziemia kościańska jest po ziemi kujawskiej drugą w Polsce co do urodzajności gleby.

– Jadąc do Kościana, stwierdziliśmy, Panie Starosto, dobry stan dróg w powiecie.

– A tak, dbamy o to. W roku 1930 nastąpiło np. otwarcie ważnej arterji komunikacyjnej, drogi, prowadzącej przez Jerkę – Dalewo – Wyrzeka – Nochowo do Śremu, a więc najbliższe połączenie Leszna ze Śremem. Wybudowaliśmy także czterokilometrowy odcinek szosy – Gryżyna – Zgliniec.

Wybudowaliśmy wreszcie kilka mostów betonowych pod Piotrowem, Wielichowem i Bojanowem, a także wiadukt kolejowy pod Dalabuzzkami.

– Wchodzą tu w rachubę Niemcy, których mamy w powiecie 4½%. Przedtem przed przyłączeniem dawnego powiatu śmigieńskiego do Kościana w powiecie naszym było 1¾% Niemców. Przez małżeństwo ze Śmigłem procent ten wzrósł do 4½%.

– A teraz o małżeństwie ze Śmigłem?

– Otóż ostatni rok naszej pracy to wytężony wysiłek tak na polu samorządu, jak i na polu pracy państwowej, prowadzonej pod hasłem integralnego połączenia obu powiatów w jedną całość. Nastręczało się tu mnóstwo problemów i trudności, na pozór wydawałoby się błahych a w rzeczywistości trudnych do zlikwidowania. Udało się nam jednak w dużej mierze zatrzeć różnice i obecnie mamy w obu dawnych powiatach zupełną jednolitą administrację rządową i samorządową.

Wywiad z uprzejmym p. starostą skończony. Jeszcze kilka miłych chwil spędzonych w apartamentach starościńskich i żegnamy pp. Narajewskich, których żegna także w częstych uroczystościach pożegnalnych całe oddane im społeczeństwo.

### Od wieku XII do roku 1933

Co nam powiedział p. burmistrz Maćkowiak?

– Wiemy, że zbyt długo możnaby, Panie Burmistrzu, mówić o wielkiej, bogatej przeszłości Kościana i dlatego ograniczymy się do rzeczy najważniejszych.

– A więc początki Kościana – w pomroce dziejów legendarnych. Wiemy już jednak z Kroniki Długosza, że w XII wieku stanął na wzgórzu kościańskim zamek wzniesiony przez Sobiesława I, księcia czeskiego. Leżąc na głównym trakcie handlowym urasta szybko Kościan w siłę i znaczenie. W 1242 roku był „Costan” naczelnym grodem osobnego opola, zaś w w. XIV obejmował powiat kościański całą południowo-zachodnią połąć Wielkopolski z miastami Zbąszynem, Leszmem, Sierakowem (Rawiczem), Bojanowem i Babimostem, sięgając na północ po Puszczykowo i Mosinę, a na wschód po stare Miasto. Sam gród kościański opasany był wówczas murami obronnymi.

W wiekach średnich urasta Kościan do drugiego wielkości miasta Wielkopolski. Dźwiga go wzwyż wielki przemysł i handel kościański z sławnymi na całą Polskę wyrobami płóciennymi. Był czas, że naokół zamku kościańskiego rozłożyło się miasto o 40 tysiącach głów. Szły więc od tronu przywileje i prawa dla miasta. Król Władysław Jagiełło potwierdza przywileje samorządowe miasta i stawia Kościan na równi z miastem Poznaniem. W 1410 zakła-

dają tu klasztor Dominikanie, a w 1460 O.O. Bernardyni. Na sławne targi kościańskie przybywają kupcy z całej Polski, Czech i Śląska.

W. XVII to „wiek kłeski” Kościana. A więc na początku tego wieku – morowe powietrze. Potem najazd szwedzki. I zaczęło być pusto w powiecie.

„Gdy nieprzyjaciele (r. 1655) miasta Kościana dobywali we wsi Kiełczewie i na Kapitulę domów 42 przez nieprzyjaciela ogniem są z gruntu zniszczone; także folwark Chorabłowski przez tegoż nieprzyjaciela jest zniszczony i cztery ślady roli i pół kwarty spustoszone, także młyny wietrzne puste są dwa...” – czytamy w starych kronikach.

Nie pomogło bohaterstwo starosty Krzysztofa Żegockiego, który oswojodził miasto od śmiertelnego najeźdźcy. Miasto szło już do upadku. Potem przyszedł znów mór, pożary. W 1704 nowy najazd szwedzki; w wojnie 1704-1761 „wykańczali” upadek miasta kwaterujący tu Prusacy i Rosjanie...

– I teraz...

– I teraz, proszę pana, jesteśmy sobie trzeciorzędnym miastem, poważnie zadłużonym, łamiącym się z trudnościami, które pogłębił kryzys. Miasto liczy według ostatniego spisu ludności 10 288 mieszkańców. Posiadamy 3 poważniejsze zakłady miejskie: gazownię miejską, rzeźnię z nowoczesnie urządzoną bekoniarnią eksportową oraz miejskie wodociągi.

– Zauważyłem P. Burmistrzu zaraz przy naszym wjeździe do miasta wczoraj, że Kościan dużo buduje?

– A tak, dużo tu robi inicjatywa prywatna, chociaż my ze swojej strony także nad tem czuwamy. Mamy fachowca urbanistę, który ze sztabem współpracowników opracowuje racjonalny i estetyczny plan rozbudowy miasta.

– Co notuje P. Burmistrz w ostatnim dorobku miasta?

– Otwarliśmy więc łaźienki miejskie, budujemy stację pomocniczą Pomp i Wodociągów, kupiliśmy samochód strażacki z motopompą.

– A na zakończenie?

– Powiem rzecz radosną. Do wzbudzenia jeszcze większego zaufania w posunięcia Rządu przyczyniło się ostatnie Rozporządzenie Prezydenta R. P. o obniżce stawki procentowej w bankach państwowych. My wszyscy odczuwamy to jako ogromną ulgę, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. (cdn)

# Z Krakowa do Poznania



Porucznik Stanisław Pieńkowski, junior, w 1921 r.

Fot. ze zbiorów Mieczysława Pieńkowskiego

## Spirał się z Tuwimem

W rodzinie Mieczysława Pieńkowskiego związki z literaturą i sztuką były bliskie od pokoleń. Najbarwniejszą i nieco kontrowersyjną postacią był dziadek Stanisław Pieńkowski, endek, dziennikarz, bezlitosny krytyk literacki, pisarz i poeta. Po zachłyśnięciu się socjalizmem w młodości, przybrał kostium konserwatysty i nacjonalisty, współpracował w pismami endeckimi. Na łamach prasy prowadził spory z Tuwimem, dosyć ostre i nieprzyjemne. Co tu dużo mówić – za Żydami nie przepadał. Pisał młodopolskie wiersze, dzisiaj nieco zapomniane. Kilkanaście z nich opublikował w „Życiu” Stanisława Przybyszewskiego. W 2005 r. ukazał się tomik jego wierszy i przekładów „Dusza tłumu”. Stanisław ożenił się z córką pastora Marią Cunft.

– Poznali się w Krakowie. Moja babcia Maria, która doskonale знаła język niemiecki przetłumaczyła dziadkowi Nietschego „Tak mówił Zarathustra”, wydane w 1901 r. Było to pierwsze tłumaczenie na polski. Dziadek zachowywał się jak macho, deprecjonował jej pomoc i głównie sobie przypisywał autorstwo przekładu. Był trochę niebieskim ptakiem, w dodatku niewiernym. W zawierusze wojennej poznał w Kijowie aktorkę – piękną Wandę Jakubowską, stracił dla niej głowę. Wziął z nią ślub w jakimś dziwnym obrządku, zostawiając w Warszawie prawowitą żonę – opowiada wnuk Mieczysław Pieńkowski.

Dziadkowie od strony matki byli rodziną spokojną i ułożoną, z zasługami dla lokalnej społeczności. Przez wiele lat mieszkali w Lutowiskach w Bieszczadach. Dziadek Karol Nowak był w gminie sekretarzem. Wskutek usilnych starań w Lutowiskach zbudowano kościół katolicki, wcześniej korzystano z gościnności prawosławnej cerkwi. Karol Nowak nie żałował pieniędzy z własnej kieszeni, ponoć budowę wsparła nawet królowa angielska. W wojnę świątynia zostanie złupiona i zamieniona w stajnię. W 1936 r. Karol przeszedł na emeryturę, przeniósł się z rodziną do Sanoka. Opatrzność Boska nad nim czuwała, bo w 1942 r. Niemcy urządzili w Lutowiskach rzeź Żydów, Romów i Polaków, zresztą przy gorliwej pomocy ukraińskiej policji. W 1944 r. Ukraińcy zabili ich krewną Jadwigę Ziółkowską. ➔

– Ciotka, która była felczerką nie chciała opuścić wioski. Mówiła:  
– Pomagam im, dlaczego mieliby mi zrobić krzywdę? Pożegnała się z bliskimi, sama została w Lutowiskach. Nie minęło wiele czasu, jak zwabili ją do rzekomo chorego i zabili. Nie ma nawet grobu.

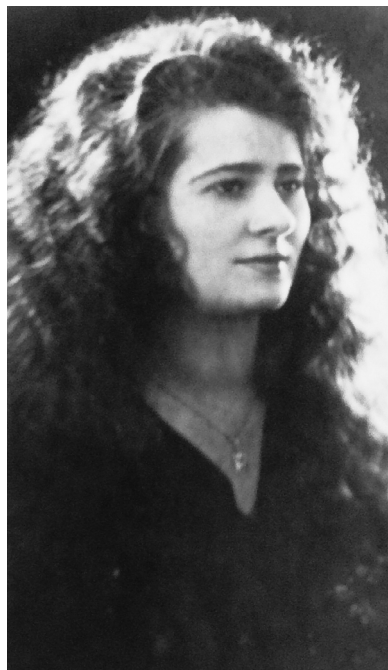
### **Porażeni miłością**

Nowakowie mieli jedną córkę Bronisławę. Z burzą niesfornych włosów, regularnymi rysami, była po prostu śliczna. Ukończyła konserwatorium, pięknie grała na fortepianie. Stanisław Pieńkowski junior najpierw usłyszał, potem zobaczył zjawiskowej urody istotę grającą na fisharmonii do niedzielnej mszy.

– Ojciec przyjechał do Lutowisk na zaproszenie kolegi. Zakochał się w mamie od pierwszego wejrzenia, zresztą z wzajemnością. Sprawy potoczyły się błyskawicznie, jeszcze przed wyjazdem oświadczył się. Dziadkom wcale się nie podobał ten warszawiak. Jeszcze większy skandal wybuchł, kiedy wyszło na jaw, że jest kalwinem. W końcu niechętnie, ale zgodzili się na ślub. Ojciec dla mamy zmienił wiarę, został katolikiem. Rodzice bardzo się kochali i szanowali. Poza mną mieli jeszcze czworo dzieci.

Stanisław junior ukończył prestiżowe gimnazjum Batorego w Warszawie, rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, które przerwał, by utrzymać rodzinę. Z początku nie wiodło im się najlepiej. W Warszawie nie mógł znaleźć zatrudnienia, z kolegą założył przedsiębiorstwo transportowe w Fordonie, dzielnicy Bydgoszczy. Wspólnik go oszukał, rodzina została bez środków do życia. Wyjechali do Lublina, tam w urzędzie wojewódzkim zajmował się sprawami mniejszości narodowych. W 1933 r. przeniósł się z rodziną do Poznania, z biegłą znajomością niemieckiego w urzędzie wojewódzkim został specjalistą do spraw mniejszości – tym razem – niemieckiej.

– Już w Lublinie rodzicom lepiej się powodziło, w Poznaniu mieliśmy ładne czteropokojowe mieszkanie na Kościuszki. Chodziłem do gimnazjum Paderewskiego. Zdążyłem otrzymać promocję do drugiej klasy i wybuchła wojna. Z rodzeństwem spędziliśmy właśnie wakacje u dziadków w Sanoku.



*Bronisława Pieńkowska w 1932 roku w Lublinie.*

*Fot. ze zbiorów Mieczysława Pieńkowskiego*

Dwa tygodnie później do Sanoka dotarli rodzice. Ojciec, który nie pogodził się z klęską kampanii wrześniowej kupił rower, którym przejechał ponad trzysta kilometrów do Warszawy, by nawiązać kontakt z dawnymi znajomymi z Polskiej Organizacji Wojskowej.

### **W konspiracji**

Musiał być październik '39, kiedy w mieszkaniu księdza Góreckiego w Miejscu Piastowym Stanisław – junior utworzył Inspektorat Służby Zwycięstwu Polski na powiaty: sanocki, krośnieński, brzozowski i jasielski. Przybrał stary peowiacki pseudonim „Strzembosz”, potem „Hubert”. Został pierwszym inspektorem SZP, potem jego komendantem. Na plebaniach zakładał punkty przerzutowe dla żołnierzy, którzy przez Węgry chcieli się przedostać do armii polskiej we Francji.

Najstarszy syn Mieczysława, wtedy kilkunastolatek, pomagał ojcu w konspiracyjnej działalności; przewoził melunki, pieniądze. Jeździł do ojca, który poszukiwany przez Gestapo, ukrywał się po różnych mieszkaniach.

– Nieraz pokonywałem po kilkadziesiąt kilometrów rowerem. Wiele razy jeździłem w różne miejsca, także

do ojca do Żarnowca. Przebywał w dworku Marii Konopnickiej, w którym schronienia udzieliła mu córka sławnej pisarki – Zofia. Naziści rozstrzelali jej męża za konspirację. Pamiętam, że częstowano mnie dobrym obiadem i jechałem z powrotem. Po latach zabrałem tam wnuka Pawła, stoimy w jadalni, a on pyta: – Dziadku to przy tym stole jadłeś obiad z panią Konopnicką? Poza funkcją łącznika AK chodziłem do szkoły, ukończyłem szkołę handlową, pracowałem we młynie, czasem udawało mi się przynieść trochę mąki do domu. Babcia robiła najlepszy pod słońcem galicyjski przysmak ćwibak i barszcz ukraiński. Do dziś nie potrafię się zdecydować, które z tych dań bardziej lubiłem.

Pod koniec 1941 r. Stanisława Pieńkowskiego w stopniu kapitana skierowano do działalności wywiadowczej w Okręgu Krakowskim ZWZ. Organizował komórki wywiadowcze, które dostarczały strategicznych informacji o ruchach wojsk niemieckich, zwłaszcza po wybuchu wojny z ZSRR. W Rozwadowie kpt. Pieńkowski spotkał dawnego znajomego z Poznania Eryka Kandziore, który prowadził tam sklepik. Zaraz też założyli punkt wywiadowczy w Rozwadowie. Później Kandziore, którego ktoś zdradził, rozstrzelano na rzeszowskim rynku.

### **Najtrudniejszy rozkaz**

W sierpniu 1944 r. Sowieci opanowali już wschodnie rejony kraju. Stanisław Pieńkowski, który był zastępcą płk. Kazimierza Putka – komendanta Podokręgu Rzeszów AK, po aresztowaniu Putka przez Sowieców w lutym 1945 r. wydał swój najtrudniejszy w życiu rozkaz. Dotyczył on rozwiązania Armii Krajowej na terenie Rzeszowszczyzny. Major Pieńkowski przedtem poszukiwany przez Gestapo, teraz był ścigany przez Sowieców i UB. Kilkakrotnie aresztowany, w sumie przesiedział prawie rok w ubeckim więzieniu w Rzeszowie.

Latem 1945 r. Mieczysław z matką wrócili do Poznania. W 1946 r. Stanisław dołączył do rodziny. Podjął pracę w Polskim Związku Zachodnim, który skierował go na świadka w procesie norymberskim. Miał dobre rozeznanie wśród organizacji nazistowskich działających w Wielkopolsce przed 1939 r., więc zeznawał przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim. Potem znalazł zatrudnienie w Centrali Rybnej, ale szybko podziękowano „zapłutemu karłowi reakcji”, wysyłając na emeryturę.



Mieczysław z siostrą Jolantą po wojnie w Poznaniu.

Fot. ze zbiorów Mieczysława Pieńkowskiego

Wtedy odkrył w sobie pasję pisarską, którą odziedziczył po dziadku. Usiadł przy biurku i pisał.

– Z tego pisania powstały trzy opasłe tomy: pierwszy „POW i czasy przedwojenne”, drugi „Rodzina i jej środowisko”, trzeci „Na drogach i ścieżkach Armii Krajowej”. Te dwa ostatnie, w których wspomina o związkach naszej rodziny z wybitnymi postaciami ze świata literatury, polityki i wojska oraz działalność w Armii Krajowej są – moim zdaniem – najciekawsze. Zmarł w 1989 r., nie zdążył wydać

wspomnień. Zastanawiam się czy je opublikować i czy kogoś jeszcze interesuje historia. Ojciec był łagodnym człowiekiem, uprzejmym i grzecznym – prezentował przedwojenną kindersztubę. Jednocześnie jako żołnierz w I wojnie światowej i komendant w Armii Krajowej był stanowczy i odważny. W pierwszej wojnie światowej został ciężko ranny. Był piłsudczykiem i legionistą. Marszałek przyznał mu Krzyż Niepodległości, z drugiej wojny wyszedł z Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Mama była nie tylko

piękną, ale także mądrą i zaradną kobietą. W domu zawsze było pianino, na którym często grała. Sama dobrze grała w szachy, mnie także nauczyła tej gry.

Mieczysław Pieńkowski lubi poezję, wiele wierszy zna na pamięć. Jeden z nich to „Sic transit” Wincentego Koraba-Brzozowskiego w tłumaczeniu jego dziadka:  
*Życie moje – to odbłask daleki –  
 Co pewnego poranku zajaśniał przed wieki,  
 I pewnego wieczoru zagaśnie – na wieki  
 W tajni Istnienia.*

TERESA MASŁOWSKA

**Por. Mieczysław Pieńkowski** ur. się 5 sierpnia 1925 r. w Fordonie. Jego ojciec Stanisław urodził się w 1900 r. w Warszawie, matka Bronisława z domu Nowak w 1903 r. we Włoczkowicach na Kresach Wschodnich. W 1939 r. ukończył I klasę Gimnazjum im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu. W Sanoku ukończył średnią szkołę handlową. Był łącznikiem Armii Krajowej, po złożeniu przysięgi przybrał pseudonim „Długi”, następnie „Miecz”. Tytuł magistra ekonomii uzyskał w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu. Pracował jako biegły rewizyj-

dent m.in. w Zakładach Cegielskiego, przez 30 lat zajmował kierownicze stanowiska w Izbie Skarbowej w Poznaniu. W 1998 r. został członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Poznaniu. Od początku jest skarbnikiem Zarządu Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK. Kontynuuje dziennikarsko-pisarskie tradycje rodziny Pieńkowskich. Współpracuje z Biuletynem Informacyjnym ŚZZAK, Biuletynem Informacyjnym Okręgu „Wielkopolska” ŚZZAK oraz „Wiadomościami Ziemiańskimi”. (tm)

# Śmierć kata

Akowiec, łącznik w Sztapie Inspektoratu Rejonowego ZWZ/AK w Lesznie, nauczyciel Ignacy Minta pozostał po sobie luźne zapiski wspomnieniowe. Drukujemy ich fragmenty. Odnotujmy, że przedstawiane w tym tekście wydarzenie ma bogatą dokumentację.

W okupację przy ulicy Gostyńskiej w Kościanie osiadła filia niemieckiej firmy „Karl Schunke”, która zajmowała się przebudową nawierzchni kolejowych i dróg bitych. Pracowało w niej około 300-350 Polaków z Kościana, Leszna, Rawicza, Gostynia i Wolsztyna. Najwięcej, bo około stu z Kościana. Firmie powierzono przebudowę torów kolejowych i budowę nasypu z Wilkowa do Krotoszyna, dalej na front wschodni, pomijając dworzec leszczyński.

## Koniec polakożercy

Kościański „Arbeitsamt” wysłał do firmy robotnika Stanisława Łopińskiego. Urodzony 1 stycznia 1914 r. w Mińsku Łopiński znalazł się przed wojną w Zbęczach, gdzie się osiedlił i ożenił. Był dobrym pracownikiem, ale bardzo zadziornym – musiałem z nim przeprowadzić kilka rozmów, żeby się zmienił i nie narażał współpracowników na dotkliwe szykany. Odkręcał węże hamulcowe z pociągów torowych kierowanych z amunicją na wschód. Węże te – jak się później okazało – dostarczał szewcowi w Kościanie, który tą gumą kauczukową podbijał obcasy. Przy jakiejś okazji policja wstąpiła do jego warsztatu i zauważyła leżące węże. Zaraz też zabrano go na policję, gdzie szewc wydał Łopińskiego jako dostawcę.

Policja przeprowadziła śledztwo, dowiedziała się, że pracuje w „Karl Schunke” i dojeżdża do Leszna roboczym pociągiem, którym o godzinie 17.00 wraca do Kościana. 12 sierpnia 1941 r. obstawiono cały dworzec kościański w oczekiwaniu na przyjazd Łopińskiego. Legitymowano każdego z nas. Łopińskiego złapano, wsadzono w auto i zawieziono na Gestapo. Widocznie do niczego się nie przyznał, bo osadzono go w więzieniu policyjnym, w którym dozorcą był wściekły polakożerca Helmut Rausch, znany z okrutne-



Ignacy Minta (trzeci z prawej) przy grobie komendanta AK Leona Ciszaka.

Fot. Bogdan Ludowicz

go bicia przesłuchiwanym, zwłaszcza z kopania w krok. Uważał bowiem, że to zaszczyt móc donieść do Gestapo, że więzień się przyznał. To samo chciał uczynić z Łopińskim. Po nocnej libacji zawiązał go do biura i rozpoczął przesłuchiwanie, a ponieważ aresztant do niczego się nie przyznawał, wziął bykowiec chcąc uderzyć, tymczasem Łopiński sprytnie chwycił taboret na którym siedział i uderzył Rauscha. Ten upadł na podłogę, leżącemu uderzył jeszcze kilka razy. Przesiedział w biurze do 8.00 rano. Rauschowi zabrał klucze, rower, a przygotowany do zabrania rewolwer zostawił na biurku. Po wyjściu z więzienia zamknął biuro, klucze wyrzucił do płynącej obok Obry i wyjechał do miasta, obok poczty spotkał Schunkego, któremu się nawet uklonił, o czym ten opowiedział nam po przyjeździe do Leszna, gdzie firma miała biura.

## Pościg

Około 10.00 rano przed biuro zajechało auto z pięcioma gestapowcami. Kiedy się dowiedzieli, że Łopińskiego nie ma w pracy porozmawiali z Schunke. Po ich odjeździe szef opowiedział nam co się stało. Zbitego, ale jeszcze żyjącego Rauscha przewieziono do szpitala, gdzie zmarł. Nazajutrz po tym wydarzeniu po powrocie z pracy do Kościana widzieliśmy wywieszone ogłoszenia, w których opisano wypadek i 20 nazwisk mężczyzn ze Zbęcz, zabranych jako zakładników. Z dopiskiem, jeżeli w ciągu dwóch tygodni Łopiński się nie znajdzie zostaną rozstrzelani.

Tymczasem zbieg ukrywał się w lasach koło Czerwonejwsi i Dębca. 16 sierpnia robotnicy rolni zauważyli go palącego ognisko i smażącego ziemniaki. Donieśli o tym Treuhänderowi (administrator zagrabionych majątków – dop. red.) z Dębca, który zadzwonił do Gestapo. ➤

Odtąd wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Po około godzinie przyjechało kilka aut z gestapowcami z Kościana, Gostynia, Leszna, a nawet z Poznania. Rozstawiali się, żeby przeczesać las. Jeden naszedł Łopińskiego, ale ten otworzył kieszonkowy scyzoryk i wbił sobie w serce. Tego dnia po powrocie z pracy Gestapo zabrało mnie i zawiozło na podwórze mleczarni. Tam stał wóz, na którym siedziało dwóch gestapowców z karabinami gotowymi do strzału, na wozie leżał Łopiński. Martwemu jeszcze skuli kajdankami ręce i nogi. Nakazano mi stwierdzić czy to on, skinąłem głową. Po tym zawieziono go na miejsce rozstrzelanych w 1939 r. Polaków i pochowano.

### Naprawić błąd

Stanisława Łopińskiego należy uważać za niezwyklego bohatera, bo następni dozorczy więzienia policyjnego całkiem łagodnie obchodzili się z aresztantami. Przyjmowali paczki, które rodziny zносиły do mieszkających obok więzienia krawca Trzebińskiego i drogisty Wdowickiego. Po wojnie w 1945 r. ekshumowano ciała rozstrzelanych Polaków, następnie złożono w trumny i pochowano w pobudowanym mauzoleum. Łopińskiego także pochowano w mauzoleum, ale bez wymienienia jego nazwiska na tablicach.



Kościańskie Mauzoleum.

Fot. Teresa Masłowska

Członkowie ówczesnej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich popełnili błąd nie doceniając jego czynu, dowodząc, że miał bardzo burzliwą przeszłość. Jest jednak okazja, by obecny Komitet

Rewaloryzacyjny Mauzoleum sprawę naprawił i uznał Łopińskiego za godnego umieszczenia jego nazwiska na jednej z tablic mauzoleum.

**IGNACY MINTA**

# Życie pana Czesława

**C**zesław Przygodzki urodził się w 1912 r. Było to w okresie zaborów. Rodzice wychowywali go w duchu ogromnego patriotyzmu. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Czempiniu, podjął naukę w Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki w Kościanie. Po zdaniu matury w 1932 r. rozpoczął studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego. W 1938 r. otrzymał stopień magistra.

1 września 1939 r. miał podjąć pracę jako nauczyciel w Cieszynie. W okresie poprzedzającym II wojnę narastała agresywna propaganda hitlerowska. Nasilała się też dywersja i butność obywa-

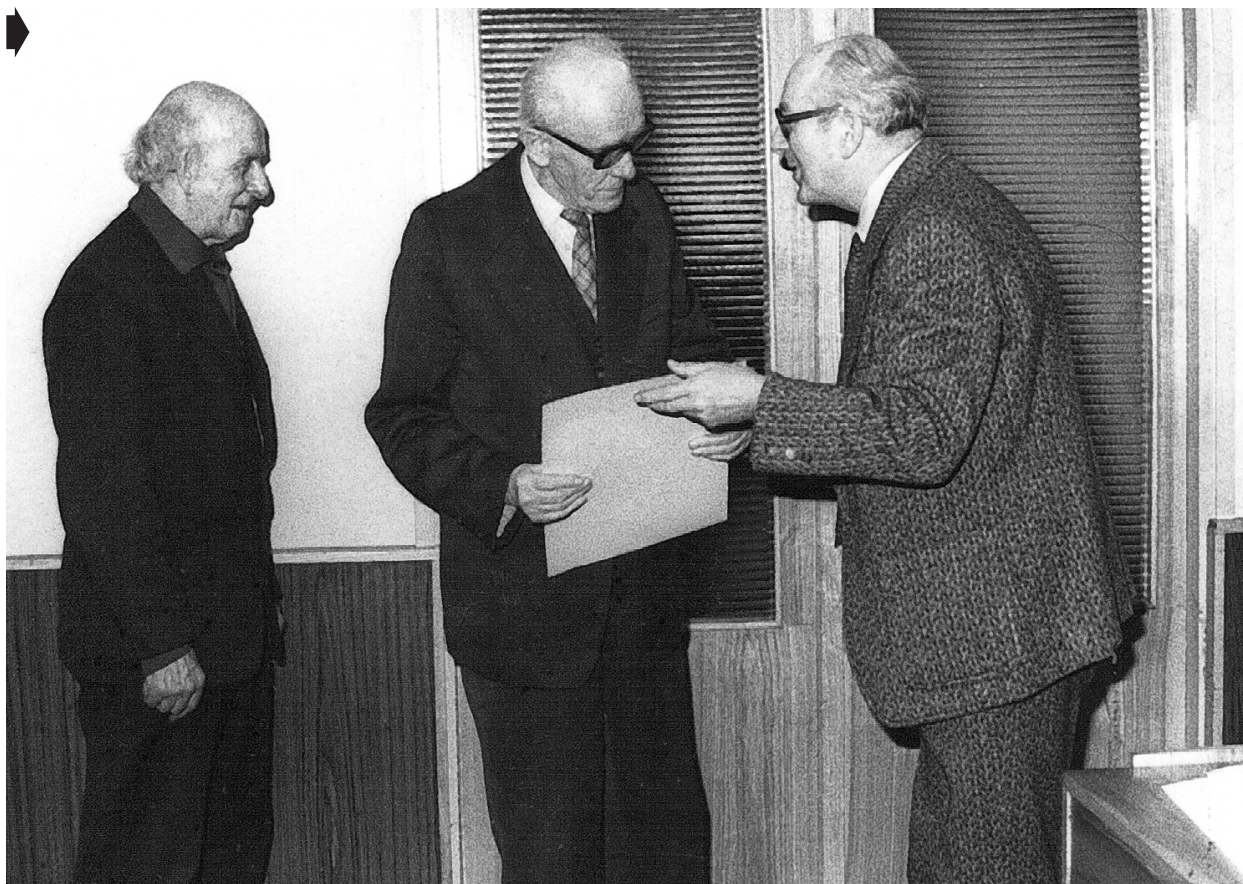
teli polskich niemieckiego pochodzenia. Czesław Przygodzki wystąpił kilka razy publicznie z krytyką polityki hitlerowskiej. W sierpniu 1939 r. kiedy eskortowano internowanych Niemców ze Śmigła przez Czempień, apelował do podobnego potraktowania niektórych obywateli tego miasta niemieckiego pochodzenia.

We wrześniu 1939 r. Niemcy zaatakowali Polskę. Czempieński, młody nauczyciel, obawiając się reakcji hitlerowskiej piątej kolumny, uciekł do Poznania. Po dwóch tygodniach nie chcąc narażać krewnych, powrócił do Czempinia. Był już jednak poszukiwany przez hitlerowców. Gestapo odwiedziło jego dom, jego

matkę i siostrę wywieziono do Generalnego Gubernatorstwa. On sam schronił się w domu rodzinnym dziadka, gdzie mieszkały dwie jego ciotki i wuj. Otrzymał od nich pomieszczenie na poddaszu wielkości 1,9 m na 5 m. Jak się okazało miała to być jego kryjówka na ponad pięć lat.

W Czempiniu podczas okupacji mieszkało wielu folksdojczów. Wiedzieli, że Czesław Przygodzki znajduje się na liście proskrypcyjnej. On sam zdawał sobie z tego sprawę. Jeden nierozważny krok i może być przez hitlerowców zlikwidowany. Komórkę na poddaszu opuszczał tylko w nocy. Jedzenie dostarczali mu krewni. Sytuacja





Od lewej: mgr Czesław Przygodzki, prof. Bolesław Iglowicz i dr Henryk Florkowski.

Fot. ze zbiorów Jerzego Zielonki

się jednak skomplikowała, gdy pewna Niemka otrzymała z przydziału sąsiednie pomieszczenie. Musiał więc tak się zachowywać, aby nie usłyszała, że ktoś w sąsiedztwie mieszka. Było to tym trudniejsze, że dzielił ich tylko cienki pruski mur. Na szczęście nowa lokatorka miała rodzinę w Poznaniu. Często do niej wyjeżdżała.

O swych przeżyciach wojennych Czesław Przygodzki milczał przez wiele lat. Dopiero w grudniu 1990 r. opowiedział je doktorowi Henrykowi Florkowskiemu.

– Zawdzięczam moje życie tylko Opatrzności Bożej i wstawiennictwu Matki i Królowej Miłosierdzia Bożego. O godzinie 18.00 czy 19.00 21 września 1939 r. wszedłem w progi domu, gdzie się urodziłem i wyszedłem w szeroką przestrzeń ulicy. Wszystkie te lata przeżyłem w ukryciu. Trzeba było opracować surowy dla samego siebie regulamin życia za dnia i nocy, aby nie narazić bliskich, którzy na barki wzięli ten niebezpieczny ciężar – zdradził po kilkudziesięciu latach Czesław Przygodzki.

Komórkę na strychu czempiniński nauczyciel opuścił w dniu wyzwolenia

miasta przez Armię Czerwoną, czyli 24 stycznia 1945 r.

Przeżył tam na poddaszu w całkowitej izolacji samotności, w przewlekłym stresie pięć lat i cztery miesiące. Znaczy to, iż przetrzymał w swej kryjówce 1960 dni i noc, pełnych udręki, otoczony wrogami inwigilującymi i kontrolującymi wszystkich i wszystko, co miało związek z Polakami – tak pisał o Czesławie Przygodzkim jego przyjaciel dr Florkowski.

O swoich przeżyciach nigdy nie opowiedział nawet synowi Zachariaszowi. Uważa on, że nie chciał nikogo wglębiać w swoje tajemnice w okresie Polski Ludowej. Kiedy podczas uroczystości religijnych 7 lipca 1946 r. głośno mówił o pakcie Ribbentrop – Mołotow, jeden z ubeków zagroził mu, iż może się to dla niego źle skończyć. Po 1989 r. swoją tajemnicę przedstawił najbliższemu przyjacielom.

Zachował się jednak pamiętnik Czesława Przygodzkiego. Pisał go podczas okupacji. Wynika z niego, iż niekiedy przez kilka dni nie jadł, gdy Niemka przebywała w sąsiednim pomieszczeniu.

Najtrudniej było zimą, gdy były mrozy. Nie miał pieca, okrywał się tylko kocami. Gdy sąsiadka wyjeżdżała, mógł zejść na dół do krewnych by się ogrzać i zacerpnąć świeżego powietrza.

Po zakończeniu wojny Czesław Przygodzki podjął pracę jako nauczyciel m.in. w Szkole Podstawowej w Czempiniu. Jego prawdziwą pasją był regionalizm. Od 1965 r. działał w Towarzystwie Miłośników Ziemi Kościańskiej, był członkiem honorowym TMZK – autorem artykułów oraz prelegentem wielu wykładów dotyczących swej małej ojczyzny. Wśród mieszkańców Czempinia i okolic jest jednak głównie znany jako współautor „Kroniki miasta Czempinia”, którą napisał z Florianem Florkowskim w 1973 r.

– Jest to pionierska praca, jak gdyby uzupełniająca wydaną w 1923 r. „Historię Czempinia” napisaną przez ks. Franciszka Ruszczyńskiego – twierdził regionalista Józef Świątkiewicz. – Obydwie te pozycje służą miłośnikom przeszłości, ale i miejscowym szkołom.

**GERWAZY KONOPCZYŃSKI**

## Zapiski doktora Florkowskiego (II)

# Bolesne narodziny „Pamiętnika”

Osobistą zasługą dr. med. Henryka Florkowskiego jest powstanie „Pamiętnika Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej”. Wychodził z założenia, że my, tutaj w Kościanie, korzystając z pomocy poznańskich naukowców, jesteśmy w stanie sami pisać o swoim mieście i powiecie. Zanim jednak doszło do suwerennych naszych publikacji trzeba było stoczyć „bój” z biurokratyczną machiną polityczną, niechętnie ustosunkowaną do myśli regionalnej. Droga do „Pamiętnika”, który w przekroju 50-lecia TMZK jest największą wartością i największym sukcesem, była wyboista. Starania trwały latami. Zaczęły się w 1966, zakończyły powodzeniem w 1972 roku. Doktor Florkowski pozostawił po sobie swoisty dziennik – zapiski czynione co kilka dni przedstawiają wiele aspektów życia miasta Kościana i powiatu kościańskiego – i pozostają jako luźne notatki w rękopisie. Miałem szczęście je czytać. Jest okazja, by teraz ujawnić ich fragmenty po to, aby pokazać współczesnym, że zabiegi o to, abyśmy mogli publikować wyniki swoich własnych badań były trudne, żmudne i długotrwałe, a Doktorowi zawdzięczamy to, że Kościan stał się liczącym w kraju ośrodkiem wydawniczym. Jest rok 1969. Zajrzyjmy do dziennika dr. med. Henryka Florkowskiego. (J.Z.)

### 6 marca 1969.

Z prof. Igłowiczem złożyliśmy na ręce wiceprzewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Stanisława Andrzejewskiego wniosek przedwyborczy w imieniu TMZK o zorganizowanie muzeum w Kościanie. Zalecono nam odpis przesłać do przewodniczącego Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu i do komitetu powiatowej partii.

### 27 lipca 1969.

Zebranie zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej u mnie w domu. Omówienie w szczegółach akcji p. J. Zielonki. 2 X br. proponuje sesję naukową w Domu Rzemiosła w związku z 30-tą rocznicą okupacji, wspólnie z „Głosem Wielkopolskim” i Frontem Jedności, wystawę okolicznościową, publikację zbiorową o okupacji w powiecie, konkurs na wspomnienia itp. Plany eleganckie, ale za dużo jak na tak krótki termin. Uzgodniono powołanie komitetu obchodu 30-lecia września 1939 z FJN, KP PZPR, ZBoWiD-em itp. W ramach tego komitetu może p. Tucholski (nasz skarbnik) prowadzić stronę finansową, ale nie może być za nią odpowiedzialny TMZK. Po dyskusji (do północy) zgodzono się ze mną.

### 11 października 1969.

Odbyła się sesja popularna – naukowa organizowana osobiście przez p. Jerzego Zielonkę, a oficjalnie pod firmą Frontu Jedności, KP PZPR, ZBoWiD i TMZK w Sali Sanatorium. Bardzo udana. Poprzedził ją cykl artykułów w „Głosie Wielkopolskim”. Sądzę, że będą i dalsze, bo na konkurs na wspomnienia okupacyjne kościaników wpłynęło 31 prac. Również otwarto w tym dniu po południu wystawę w sali Ratusza. W piątek – 10 X 1969 Cech Rzemiosł Różnych w Kościanie otworzył w Domu Rzemiosła wystawę swoich zabytków. Organizował ją praktycznie p. Piotr Bauer (junior z Prezydium Miejskiej Rady Narodowej). Byli goście i rzemieślnicy. Przemawiali: p. Ciesielski – prezes Izby Rzemieślniczej w Poznaniu, Henryk Cukiernik z Komitetu Powiatowego, prezes Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego p. Wojciechowski z Wielichowa. Wystawa bardzo udana, estetyczna i ciekawa. Dziw, że do tej pory tyle zabytków udało się przechować. Co za materiał dla przyszłego muzeum kościańskiego.

### 24 maja 1971.

Dziś z ramienia TMZK z p. Zielonką i z p. Bauerem byliśmy u burmistrza Kościana z propozycją organizowania

„Dni Kościana” od przyszłego roku – może z tego wyjść dużo dobrego dla miasta. Roztoczyliśmy wiele projektów, które burmistrz akceptował. Podjęliśmy się w najbliższych tygodniach opracowania szczegółowego programu na przyszły rok. Przypomina się rzemiosło kościańskie, zaprosić można starszych obywateli na gospodarską rozmowę o Kościanie. Postulowaliśmy opracowanie planu zieleni miejskiej itp. Prosiłem burmistrza, by postarał się o meble byłego starosty, które leżą w magazynie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

### 11 czerwca 1971.

Dużo pracuję nad ostatnim szlifem Pamiętnika TMZK. Chciałbym, żeby jeszcze w tym miesiącu trafił do cenzury. Okropnie to żmudna robota – stałe poprawianie, przepisywanie itp. Podobno w ostatnim czasie na naradzie w Powiatowej Radzie Narodowej I sekretarz Urbaniak stawiał nas jako przykład społecznego zainteresowania.

### 24 czerwca 1971.

Byłem w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w sprawie publikacji Pamiętnika TMZK. Posyłają mnie jutro z panem Kuczyńskim z wydziału spraw wewnętrznych

do Komitetu Powiatowego PZPR, a w przyszłym tygodniu mamyjechać do cenzury. Papier załatwiłem w drukarni.

### 1 lipca 1971.

Dziś byłem w towarzystwie Jana Kuczyńskiego i Henryka Kaliszewskiego u I sekretarza Komitetu Powiatowego Gałgana w sprawie Pamiętnika TMZK. Przyjął grzecznie, wysłuchał, prosił, by mu zostawić egzemplarz maszynopisu, by mógł poznać Kościan. Obiecał w poniedziałek z Henrykiem Zającem z Komitetu Powiatowego pojechać w tej sprawie do Wydziału Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Zapoznałem go z projektem „Dni Kościana”. Zainteresował się.

### 18 lipca 1971.

Sprawa Pamiętnika TMZK. W piątek – po 2 tygodniach od oddania maszynopisu I sekretarzowi KP – zjawiłem się znowu u Gałgana. Przyjął mnie chyba chłodniej niż poprzednio. Był w Wydziale Propagandy Komitetu Wojewódzkiego. Oto jego reakcja w skrócie: publikacja potrzebna, za dużo jednak w niej starej historii, za mało współczesnej. Trzeba się zebrać, jak przyjedzie z urlopu sekretarz Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Kaliszewski, jeszcze raz przeanalizować maszynopis i zdecydować co skreślić a co dodać. Z Komitetu Powiatowego będzie on, dalej Kaliszewski i ktoś z TMZK – kilka osób razem. Próbowałem bronić naszej pozycji. Ustaliliśmy jednak, że za miesiąc trzeba to zrobić. Wyczuł, że nie byłem zadowolony. Rozmawiałem po tym w naszym gronie. Kolega Zielonka był wściekły – musiałem go hamować. Jeśli chodzi o Komitet Powiatowy, o partię, to nic nie uczynili w tej sprawie od siebie, a teraz chcą wejść do historii. Trzeba będzie pójść na kompromis ewentualnie dodać jeszcze na przykład taki temat „Perspektywy rozwoju Kościana”. Sekretarz Kaliszewski wróci za 2 tygodnie, więc trzeba będzie jak najszybciej doprowadzić do spotkania. Trzeba, mimo wszystko, nadal walczyć o naszą publikację. Nie damy się. Taka piękna, społeczna praca miałyby pójść na marne? Nie ujrzeć światła dziennego? Sekretarz Gałgan za drugim razem wydawał mi się bardziej infantylny, bardziej młody. Stąd też trudno się dziwić, że jest ostrożny; że słucha różnych głosów z boku.



Dr med. Henryk Florkowski (z prawej) z prezesem Leszczyńskiego Towarzystwa Kulturalnego Zdzisławem Smoluchowskim.  
Fot. Bogdan Ludowicz

### 22 lipca 1971.

Wczoraj otwarto wystawę fotografii „Ziemia Kościańska w obiektywie”. Dzieło J. Zielonki, który zredagował również ładny informator. Wystawa estetyczna. W kameralnej dyskusji u burmistrza przy lampce wina była mowa o przyszłych „Dniach Kościana” według projektu TMZK. Obroniłem też lipy z lewej strony ulicy Mickiewicza, które już burmistrz Kościana – za naciskiem Energetyki – przeznaczył na wycięcie, bo trudno założyć oświetlenie elektryczne.

### 1 sierpnia 1971.

Z publikacją TMZK cisza. I sekretarz Komitetu Powiatowego do 30 sierpnia wyjechał na urlop. Znowu przerwa, brak postępu. Zaczynamy się denerwować.

### 19 sierpnia 1971.

W przedostatnią środę doszło u mnie w mieszkaniu do spotkania z prezesem Ciesielskim i kierownikiem Wizerkaniukiem z Cechu Rzemiosł Różnych. Byli poza tym panowie Zielonka i Piotr Bauer z TMZK. W związku z przyszłorocznymi „Dniami Kościana” spotkał się z całkowitym zrozumieniem przedstawicieli Cechu i z przyjęciem naszych propozycji. Uważają, że bez trudności mogą na publikację o rzemieśle wyasygnować 50 tys. zł. Powołaliśmy z obecnych komitet redakcyjny (pod moim kierownictwem). Zrobiliśmy plan pracy i wyznaczyliśmy termin następnego spotkania na koniec września br. W TMZK odbyło się już pierwsze spotkanie naszych członków starszych wiekiem, którzy pod kierunkiem pana

Mariana Urbańskiego i J. Zielonki opracowują opis Kościana z czasów swej młodości (to znaczy przed 70 laty) pod tytułem „Przechadzki po Kościanie”. Może z tego wyjść ładna praca folklorystyczna itp. Dziś na moją prośbę Heniu Mucha przypomniał sekretarzowi Gałganowi o naszej publikacji. Wyraził całkowitą aprobatę w przyszłym tygodniu spotkać się z nami. Dziś odwiedziliśmy z panami Jerzym Zielonką i Marianem Koszewskim doktora Wielgosza w Bieżyniu, a potem złożyliśmy życzenia przeorowi ojcu Bernardowi Walczakowi w klasztorze lubińskim. Przyjął nas bardzo serdecznie.

#### 5 września 1971.

Mimo interwencji Henia Muchy i Henryka Kaliszewskiego nie otrzymaliśmy jeszcze od I sekretarza „imprimatur” na publikację „Pamiętnika”. Przez kierownika Kuczyńskiego przepraszał, że do tej pory nie rozmawiał z nami. Obiecywał podobno, załatwić to w tym tygodniu.

#### 14 września 1971.

Wczoraj rano zadzwoniłem do I sekretarza Gałgana z przypomnieniem o obiecanej naradzie w sprawie publikacji TMZK. Odpowiedział krótko, kategorycznie: „Nie mam w tej chwili czasu”. Bardzo mnie to zdenerwowało: primo – już trzeci miesiąc staram się o „partyjne imprimatur” i bezskutecznie; secundo – I sekretarz należy do ludzi krótkowzrocznych jak jego poprzednicy; widzi tylko sprawy partii, nie widzi całego społeczeństwa. Czy będzie można w ogóle na niego liczyć? Pan Zielonka poinformowany przeze mnie też się zdenerwował – trzeba będzie szukać innych protektorów.

#### 5 października 1971.

W ubiegłą sobotę u dr Grząślewicz – kierowniczkę Wydziału Zdrowia przy składaniu życzeń (a byli tam panowie Mendel, Kuczyński, Kaliszewski) X. wspomniał o Pamiętniku TMZK, że „w takiej formie nie przejdzie, że nowego współczesnego materiału za mało”(!) Czyli stale ta sama piosenka. Prosiłem ich trzech do siebie na dziś. Nie przyszli. Wczoraj burmistrz Kramer zaprosił na konferencję w sprawie „Dni Kościana”. Byli jeszcze I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR Franciszek Pajkert, sekretarz Prezydium Miejskiej

Rady Narodowej Teofil Wałkowski, Piotr Bauer i Jerzy Zielonka. Z dyskusji wynikało, że [władze miejskie] boją się przeprowadzenia „Dni Kościana” według projektu TMZK. Burmistrz chce wydać odezwę do mieszkańców w sprawie informacji. Zamierzają na Prezydium Miejskiej Rady Narodowej powołać komitet organizacyjny, któryby już miał rozpocząć pracę.

#### 19 października 1971.

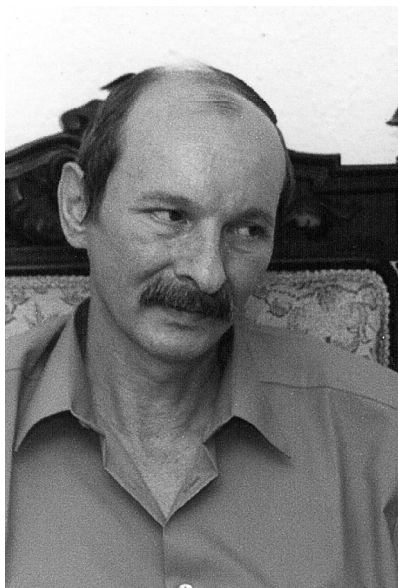
Byłem dziś z dr. Zbigniewem Wielgoszem w Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Poznaniu. Otrzymałem zezwolenie na składanie „Pamiętnika”, a o zezwolenie na druk muszę wystąpić do Warszawy. Od I sekretarza Gałgana nic nie słyhać. Ma na pewno dużo roboty, bo 21 października odbędzie się konferencja powiatowa. Dyskusja ma tam się odbywać w pięciu zespołach (nowość!).

#### 7 listopada 1971.

W ub. piątek narada z kierownikiem Drukarni Kościańskiej St. Szłapką i F. Lenartem (linotypistą na emeryturze) w sprawie „Pamiętnika”. Chyba jakoś pójdzie. Najgorsze, że do tej pory nie ma zezwolenia na druk.

#### 5 grudnia 1971.

Sprawa publikacji TMZK nadal nie jest załatwiona. Interweniowałem osobiście w Naczelnym Zarządzie Wydawnictw w Warszawie u dyrektora Marszałka.



Długoletni członek TMZK dr Piotr Bauer.  
Fot. Bogdan Ludowicz

Obiecał dać jak najlepszą opinię. Czekam więc z emocjami – zdenerwowany.

#### 14 stycznia 1972.

5 stycznia byłem u przewodniczącej Prezydium Powiatowej Rady Narodowej pani Krzyżaniak – razem z panem inspektorem Chojnackim. Załatwiliśmy obchody 125-lecia urodzin Stanisława Szczepanowskiego w Kościanie na 26 lutego (wmurowania tablicy pamiątkowej, akademii). Równocześnie zawiadomiła mnie o przydziale 20 tys. zł. na Pamiętnik TMZK.

#### 15 stycznia 1972.

Z panem Maciejewskim, który został kierownikiem drukarni (po ustąpieniu pana Szłapki) i z panem Szłapką zrobiliśmy we wtorek adiustację maszynopisu Pamiętnika TMZK. Wreszcie ma to za tydzień ruszyć. Otrzymałem już rachunek za klisze chemigraficzne na 1893 zł. Będę to musiał zapłacić z własnej kieszeni.

#### 16 kwietnia 1972.

Byłem dziś w drukarni. Zabrano się znowu wreszcie do składania Pamiętnika TMZK. Chcą w maju skończyć. Nawiązaliśmy jako TMZK współpracę z dyrektorem Jankowskim z Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego (a raczej on z nami). Obiecywał różne korzyści na przykład stypendia czy nagrody. Wysyłamy 4 delegatów na Zjazd Wojewódzki WTK w Koninie (24 maja).

#### 18 lipca 1972.

„Szczotka” [próbny wydruk składu książki w celu dokonania korekty – dop. J.Z.] Pamiętnika TMZK na ukończeniu. Na druk broszury o Szczepanowskim przysłała odmowna odpowiedź z Naczelnego Zarządu Wydawnictw. Będzie ją trzeba wydać w formie powielaczowej.

#### 24 września 1972.

Dużo czasu zajęła mi korekta. Pamiętnik może wreszcie się ukazać. Przerobilem i poszerzyłem też pracę o rzeźmiśle, oddałem do przepisania (...).

#### 10 listopada 1972.

Piątek. Otrzymaaliśmy zezwolenie z Naczelnego Zarządu Wydawnictw na 2 tys. egz. Pamiętnika! To już coś. ➡



**6 grudnia 1972.**

Odebrałem pierwsze 500 egzemplarzy wydrukowanego Pamiętnika TMZK. Wreszcie się urodził. Jest estetyczny i chyba udany. Powinien być dobrze przyjęty. Niestety ze względu na koszty ogólne będzie kosztował 50 zł. Rachunek trzeba jeszcze w tym roku zapłacić. Sprzedajemy więc na gwałt, by zebrać 40 tys. zł. Wręczyłem 21 egzemplarzy przewodniczącej Krzyżaniak. Była zadowolona. Przy okazji monitowałem ją o obiecaną dotację (21 tys. zł.), której do tej pory nam nie przekazano. Bruździ Z. (od spraw kultury w Wydziale Oświaty), która chciałaby przejąć cały nakład. Ustaliłem z przewodniczącą Krzyżaniak i potwierdziłem na piśmie Głównej Księgowej pani Żak (Wydział Oświaty i Kultury), że po 1 stycznia 1973 dostarczymy egzemplarze do szkół podległych Inspektoratowi Oświaty. Nie wcześniej, bo inaczej mielibyśmy trudności ze sprzedażą książek i zaplaceniem rachunku. Obiecała również Przewodnicząca PPRN: maszynę do pisania, nowy lokal (2 pokoje) przy nowej bibliotece dla TMZK...

(Koniec)

**PS.**

Pierwszy tom „Pamiętnika TMZK” datowany jest na rok 1972, choć druk całego nakładu ukończono dopiero w marcu 1973 r. Zredagowało go kolegium w składzie: Henryk Florkowski (przewodniczący), Marian Koszewski, Jerzy Zielonka i Kazimierz Zimniewicz (członkowie). Przedmowę napisał dr Zbigniew Wielgosz. Okładkę projektował Czesław Przygodzki z Czempinia, obwolutę wymyśliliśmy we dwóch wspólnie z doktorem Florkowskim, on zaś opatrzył książkę mottem z myśli Joachima Lelewela: „Pisać, co można, a nie frasować się, że tu i ówdzie czegoś brak. Przyjdzie drugi i trzeci – i dopełni. Tak się tworzyły i dziś jeszcze tworzą wszystkie historie”. W 1966 r. zacząłem prowadzić własny dziennik, który zapisuję do dziś i tak trzeba, bo – jak powiadał Doktor „ludzie są pokrętni, pamięć ludzka zawodna tak, że najkrótszy ołówek jest lepszy od najdłuższej pamięci”. J.Z.

## Dzienniki Macieja Morawskiego (VII)

# „Piekielna spirala”

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy siódmy odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2011 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: [www.maciejmorawski.blox.pl](http://www.maciejmorawski.blox.pl)

**27 lutego**

Wczoraj chrzest mej trzeciej wnuczki Alix. Ceremonia o godz. 15.00 u Świętego Juliana Biednego (jeden z najstarszych i najpiękniejszych kościółków Paryża). Wzruszający rytuał chrzestny obrządku katolicko-melkickiego. Trzech kapłanów: prałat melkicki, jego zastępca i pallotyn ksiądz Marian Faleńczyk. Sporo krewnych i przyjaciół: Jean, Anna i Henri Mesnet ze swymi dziećmi, Virydianna Rey, Marek Szypulski z żoną, Mikołajostwo Kwiatkowscy, trójka Zantarów, Ewa Niemirowicz, Barbara Kłosowicz, Gabriela Morawska i wiele innych miłych osób... Matką chrzestną Alix jest Zosia Tarnowska, ojcem chrzestnym – młody Belg. Po chrzcie znakomity podwieczorek w dużej sali parafialnej.

**28 lutego**

Jak już pisałem, mam trudności w znalezieniu tu na poczcie pięknych, francuskich znaczków! Nadal wiele listów wysyłam opatrzonych jedynie tą samą wydaną przez specjalną maszynę, która inkasuje należność... Wraz z dy-

namicznym Joëlem Broquetem, Prezesem du Carrefour des Acteurs Sociaux i kilku innymi osobami rozpoczynamy starania mające na celu skłonić kierownictwo francuskiej poczty do wydawania pięknych znaczków. Wszak znaczek, to jakby wizytówka kraju! No i jeszcze inny problem: priorytetowy list z Warszawy szedł do mnie aż 8 dni!

**1 marca**

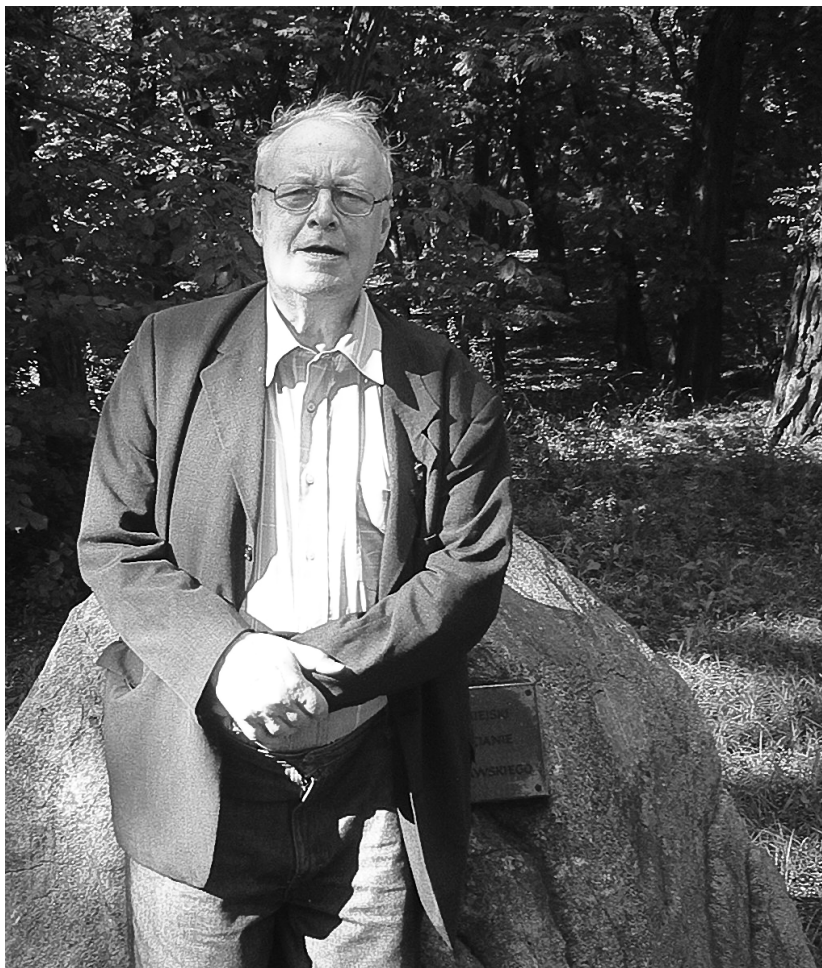
Jak mocne są krajowe pasje polityczne! Ktoś z mych znajomych (polskich Paryżan) dostaje dzień w dzień e-maile od przyjaciół z kraju przynoszące różne wypowiedzi godzące w wybitnych naszych mężów stanu! Jednemu z innych tutejszych rodaków krewni pocztą nadsyłają wiele wycinków prasowych zawierających niezwykle polemiczne teksty! Jak podkreśla wysoce inteligentny przyjezdny z Warszawy, rzecz dziwna, polskie spory na ogół dotyczą przeszłości, szermują podejrzaniem i w gruncie rzeczy odnoszą się do spraw nie mogących mieć nadmiernego wpływu na naszą przyszłość!

Natomiast jesteśmy ślepi na to, co może zagrażać całej Europie. Śp. Jan Nowak-Jeziorański mawiał, że zasadniczą rolą RWE jest podawać wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe, zawsze sprawdzone oraz dawać rodakom prawdziwy obraz tego, co zachodzi. W ostatnich latach życia mój Dyrektor nakazywał nam patrzeć wyżej i dalej, brać udział w umacnianiu Europy, całego świata zachodniego. Martwiły go polskie, jakże ostre spory i zbyt wielkie nimi zaabsorbowanie.

Gdy idzie o mnie, to głęboko wierzę, że Polska ma wielką rolę do odegrania w walce o nową i gospodarczo oraz politycznie sprawną Europę. Przywiązuję wielką wagę do tego, że 1 lipca 2011 roku Polska obejmie na 6 miesięcy przewodnictwo Unii. Na pewno będzie to okres szczególnie trudny, wymagający decyzji śmiałych, budzących zaufanie i entuzjazm Europejczyków. Inicjatyw gospodarczych, politycznych (dramat krajów arabskich, presja osób chcących osiąść w Europie), społecznych (szybko potęgująca się liczba niedołączonych starców!)... Ale my Polacy mamy znakomitych fachowców do spraw Unii, na pewno znajdziemy właściwie wyjścia... Nasze stowarzyszenie im. Jana Nowaka winno zacieśnić swe więzy z Unią. Na wstępie np. zorganizować spotkanie dotyczące nowej Europy z udziałem naszych europosłów oraz, jeśli to możliwe, Ministra Mikołaja Dowgielewicza.

## 2 marca

Wczoraj spotkanie w kawiarni Les Fontaines z Piotrem Wittem, autorem świetnej książki o pierwszym paryskim okresie Szopena. Ukazała się ona pod tytułem „Przedpiekle sławy”, nakładem Ministerstwa Kultury. Z miejsca się rozeszła. Żona autora, Maria Witt walnie się przyczyniła do promocji i dystrybucji owego dzieła, które, jak uważam, ma szansę, by stać się światowym bestsellerem. Piotr Witt – krytyk, historyk sztuki, publicysta, pracował od połowy lat 80. dla Radia Wolna Europa (biuro paryskie). Wcześniej był dziennikarzem polskiej telewizji. Zastępował interwencjami w obronie dzieł sztuki. Uratował np. od rozbiórki kamienicę (dzieło architekta Stefana Szyllera) w Alei Szucha. Zajął się też sprawą karet królewicza Jakuba Sobieskiego, z których niegdyś Prusacy zrobili ambonę w kościele w Radaczu. A będąc



W Parku im. Kajetana Morawskiego w Kościanie.

Fot. Teresa Masłowska

publicystą RWE, na początku lat 90., uratował od likwidacji słynną bibliotekę Instytutu dla Ociemniałych przy ul. Konwiktorskiej w Warszawie.

## 3 marca

19 marca 2011 roku przypadają setne urodziny Władzie Majewskiej. Jak swego czasu mawiał Jan Nowak, Władza, to w jednej osobie świetna śpiewaczka i aktorka, znakomity reżyser i szef sekretariatu i do tego umiętny rozjemca oraz „dyplomata”; jak nikt potrafi rozładowywać napięcia...

Gdy idzie o mnie, Władę Majewską poznałem przed laty w słynnym paryskim salonie Anny hr. de Gontaut-Biron. Pani Anka, wdowa po francuskim dyplomacie, była bohaterką polskiego ruchu oporu we Francji i byłym więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Jej salon odwiedzało wielu francuskich mężów stanu, także wybitni Polacy. Owego dnia spotkałem tam na świetnym obiedzie Mariana Hemara

i Władę Majewską. Jak przez mgłę pamiętam, że padało wiele komplementów pod adresem przebojowej piosenki „Kulikowski chlib” (to też tytuł zbioru wierszy i satyr Hemara).

Gdy idzie o moją osobistą ocenę Władzy, to zawsze wielkie wrażenie na mnie robił jej zdrowy rozsądek, spokój i rozważa. Obca jej była wszelka kłótniowość. Miała nacechowane życzliwością podejście do ludzi! No i nigdy nie traci poczucia humoru, ale humoru po lwowsku łagodnego i życzliwego! Władza od lat jest czołowym członkiem naszego stowarzyszenia: cieszę się więc bardzo, że w poniedziałek, 21 marca o godz. 18.00 odbędzie się w naszym klubie im. red. Aliny Perth-Grabowskiej, w Radio Café przy ul. Nowogrodzkiej 56 w Warszawie, wieczór poświęcony jej setnym urodzinom!

## 7 marca

Według sondażu z początku marca br., Marine Le Pen, gdyby



wybory prezydenckie we Francji miały miejsce teraz, uzyskalaby w pierwszej turze 23 proc. głosów, a Prezydent Sarkozy i socjalistka Matine Aubry po 21 proc. Natomiast w drugiej turze przywódczyni FN czyli Frontu Narodowego, szansa na zwycięstwo by nie miała. Te 23 proc. wzbudziło tu słuszne podniecenie. Rzecz jasna, w pewnej mierze są one związane z osobowością Marine Le Pen, uzdolnionej 43-letniej adwokatki, która umie zręcznie się wyrażać, mówić stylem trafiającym też do młodszych pokoleń... Ale chodzi także o coś innego. Owe 23 proc są też wyrazem ogromnego niepokoju. Obawy w społeczeństwie budzą wydarzenia w krajach arabskich, możliwość napływu wielkiej, trudnej do zatrzymania fali uchodźców, dalej: brak energicznej polityki nakręcania koniunktury i problem bezrobocia itd., itd. Sytuacja przyczyna nieco, podkreślam nieco, przypominając lata 30. ubiegłego stulecia!

Jakie wyjście z sytuacji? Ogromny, ogólnoeuropejski wysiłek usprawnienia Unii pod względem ekonomicznym, także wspólne europejskie działania mające na celu pełnienie krajów bliskowschodnich i krajów Afryki na tor rozwoju! Jak już pisałem, potrzebny jest jakiś nowy „Plan Marshalla” dla owych krajów. Na szczęście, ostatnie wydarzenia otworzyły niektórym oczy, coraz więcej Europejczyków rozumie konieczność umacniania Unii, energicznych wspólnych poczynań. A co do francuskich wyborów prezydenckich, to ja, mimo złych prognoz chcę wierzyć w możliwości superinteligentnego prezydenta Sarkozy'ego! Przypominam, że wybory te odbędą się dopiero w 2012 roku.

### 11 marca

Przypominam sobie, że już jakiś czas temu dochodziły mnie opinie francuskich „działaczy europejskich”, iż Polska ma kilku naprawdę wybitnych europosłów. Wówczas wymieniano, o ile pamiętam, np. Marcina Libickiego oraz Bogusława Sonika. Libicki, który nieśty już europoseł nie jest, był niezwykle popularny w „europejsko-parlamentarnym” kręgu. Sonik ma ustaloną reputację dobrego znawcy problemów naszego kontynentu, gorącego zwolennika pełnej mobilizacji Polaków pod hasłem walki o zdolną nakręcić euro-

pejską koniunkturę Unię, prawdziwego europatrioty – co wynika też z jego związku z Krakowem, tym przepięknym staroeuropejskim miastem! No i ogólnie wiadomo, że Sonik ma wrodzony talent do rozmów z prasą!

Ostatnio słyszałem też, że w Brukseli i w Strasburgu wysoko się ceni energię i rozagę posłanki Róży Thun. Moi rozmówcy są także zgodni co do tego, że zgola wybitnym Europejczykiem jest przewodniczący Jerzy Buzek, człowiek zrównoważony i taktowny! (co, jak głosi jeden, może złośliwy Francuz, nie jest cechą dominującą Polaków).

Dlaczego o tym wszystkim teraz piszę! Z prostych powodów: 1) RP 1 lipca 2011 obejmie przewodnictwo Unii; 2) problemy arabskie mocno przyspieszają narastanie godzących w całą Europę zagrożeń! Tak więc Polsce przypadnie zadanie rozwiązywania trudnych unijnych problemów. My Polacy winniśmy tego być świadomi. Gdy idzie o mnie, to wierzę, że Polska odegra w życiu Unii niezwykle pozytywną i konstruktywną rolę. Wymieniłem kilku eurodeputowanych, o których dotarły do mnie wysoce pozytywne oceny. Naturalnie wiem, że inni polscy członkowie tegoż Parlamentu są także ludźmi wybitnymi! Mogący mieć poważny wkład w budowę silnej ekonomicznie i politycznie Europy!

### 16 marca

Potęguje się świadomość, iż nad światem gromadzą się ciemne chmury, zwiększają się różnorakie zagrożenia... Daleki od wszelkiej pogoni za sensacją dziennik „Le Figaro”, już dziś na pierwszej stronie w wielkim tytule stwierdza: „Japon, la spirale infernale” („Japonia, piekielna spirala”). Pismo donosi też, że premier François Fillon nakazał inspekcję wszystkich francuskich elektrowni nuklearnych, a w Niemczech Angela Merkel nakazała zatrzymanie na trzy miesiące siedmiu tego typu siłowni! Równocześnie niektórzy obserwatorzy przewidują, że choć wojska pułkownika Kaddafiego prawdopodobnie opanują miasto Benghazi, prowizoryczną stolicę libijskich powstańców, to jednak w owym kraju może się rozwinąć długotrwała wojna partyzancka. „Le Figaro” przytacza opinie księcia Mohammeda al-Sanusi, z których wynika, że w Libii utrzyma-

się ruch oporu, uniemożliwiający pełne kontrolowanie przez pułkownika dyktatora, całego obszaru tego państwa. Al-Sanusi mieszka od roku 1988 w Londynie, jest wnukiem obalonego w 1969 r. przez Kaddafiego króla Idrissa I... (Mohammed al-Sanusi jest „dziedzicem tronu libijskiego”...) Jedno pewne, sytuacja libijska może w każdej chwili przynieść niespodzianki... Np. dziś Alain Juppé, francuski minister spraw zagranicznych w swym blogu dał wyraz przekonaniu, że nie jest jeszcze za późno na akcję (lotniczą) przeciw samolotom i helikopterom Kaddafiego.

### 19 marca

Z Mariuszem Kubikiem i Panią Iza-belą pojechaliśmy do Studia Polskiego Radia im. Agnieszki Osieckiej na ul. Myśliwiecką, gdzie w „Kawiarence Słodkiego Radia Retro” Polskiego Radia odbył się wieczór zorganizowany przez Danutę Żelechowską i Jana Zagodę z okazji setnych urodzin Władysław Majewskiej. Znana teatrolożka i pisarka Anna Mieszkowska przedstawiła postać Władysław Majewskiej, puszczone wiele jej piosenek – nagrań archiwalnych. Pod koniec spotkania zabrałem głos, by złożyć hołd postaci naszej koleżanki z RWE, podkreśliłem jej zasługi, o których już wiele pisałem w tym dzienniku.

### 21 marca

Wojna w Libii.

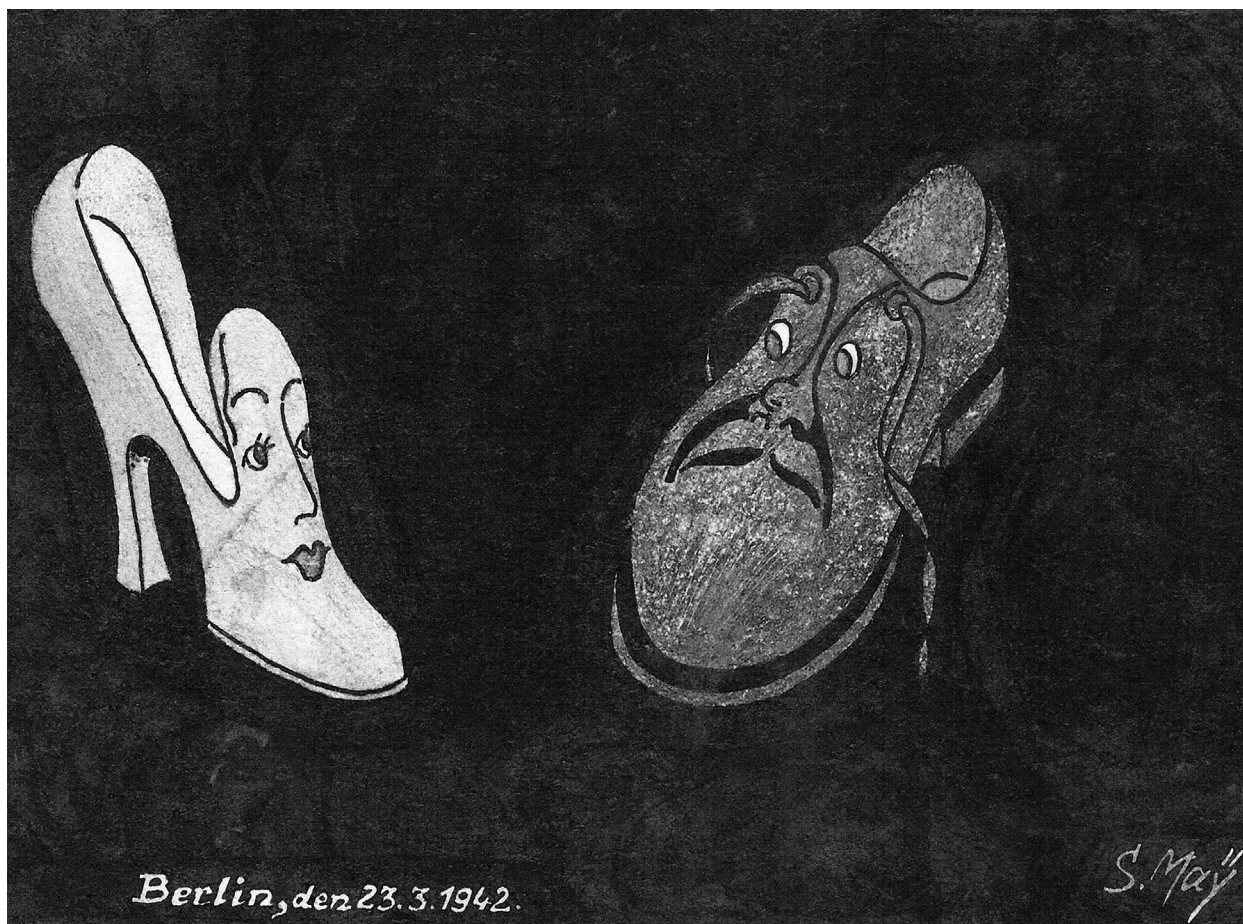
Od dawna zapowiadałem na mym blogu zamęt w krajach arabskich. Co dalej? Można obawiać się pogłębiania bałaganu w całym regionie. Unia Europejska będzie musiała zareagować, „biorąc się do kupy”. Nakręcając energicznie europejską koniunkturę, wzmacniając swą wspólną politykę zewnętrzną. Lansując jakiś nowy plan pomocy gospodarczej dla krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej... Trzeba też pamiętać, że w wielu krajach tamtego obszaru coraz większą rolę starają się grać Chiny. Chiny gotowe inwestować kapitały, wysyłać ekipy wyszkolonych pracowników. Kończąc dodam, że w związku z wojną w Libii należy się obawiać w Europie wzmocnionych akcji takich lub innych arabskich terrorystów. Wszak Kaddafi na pewno ma w tej dziedzinie mocne kontakty...

Wybr. i oprac.

**TERESA MASŁOWSKA**

# Saga rodu Mayów

Kilka lat temu w „Wiadomościach Kościańskich” ukazał się artykuł, w którym przedstawiono fragment dziejów zasłużonej dla Kościana i Polski rodziny Mayów. Od tego czasu udało się poszerzyć wiedzę o losach tej rodziny. Warto na początek przypomnieć początek wspomnianego artykułu. W przedwigilijny dzień 1927 r. na stacji granicznej w Zbąszyniu w obecności władz polskich i niemieckich przeprowadzono wymianę więźniów. Niemcy zwolnili z więzienia trzech mężczyzn tj. Franciszka Maya i jego synów Stefana i Edmunda.



Wśród unikalnych pamiątek po Mayach zachowała się pocztówka Stefana własnoręcznie wykonana w więzieniu i przesłana do rodziny. Oryginał ze zbiorów Muzeum Ziemi Grodzkiej

## Zdrada oficera

**F**ranciszek May urodził się w 1876 r. w Kościanie. Był jednym z 12 rodzeństwa. Jego ojcem był, urodzony w 1844 r. w Starym Bojanowie, znany wówczas rzemieślnik i dobroczyńca Wojciech May. Wojciech ożenił się w 1871 r. z Jadwigą z Wechtów. Rodzina Mayów mieszkała przy obecnym Placu Wolności. Pan Wojciech darował swego czasu miastu część swojej ziemi w Kościanie, co umożliwiło połączenie Placu Wolności z obecną ulicą Adama Mickiewi-

cza. Nowo utworzona ulica nosi dzisiaj nazwę Wojciecha Maya. Franciszek May, korzystając z finansowej pomocy ojca, zamieszkał około 1890 r. w Szczecinku, gdzie prowadził hurtownię i sklep tytoniowy przy obecnej ulicy Pocztowej 2. 18 listopada 1898 r. Franciszek zawarł w Lesznie związek małżeński z Jadwigą Dąbrowską ur. w Bartodziejach Małych k. Bydgoszczy. Z tego związku urodziło im się dwóch synów tj. Stefan (ur. 1 sierpnia 1899 r.) i Edmund (ur. 7 sierpnia 1900 r.). Wiadomo dzisiaj, że syn Edmund ukończył w Szczecinie

Schillergimnasium. Rodzina Mayów cieszyła się w Szczecinie wśród tamtejszych Polaków dużym poważaniem.

Po zakończeniu I wojny światowej cała rodzina zaangażowała się w działalność wywiadowczą na rzecz Polski. Wiadomości przekazywano prawdopodobnie do Dowództwa Okręgu Korpusu w Poznaniu. Niestety służył tam także oficer polski o nazwisku Kowalewski (Kowalkowski), który zdradził Niemcom czym zajmowała się rodzina Mayów. Oficer ten w 1920 r. wy-





aresztowali wszystkich członków rodziny i zarzucili im prowadzenie działalności szpiegowskiej. Po dwuletnim śledztwie Sąd Rzeszy w Lipsku skazał wszystkich na kary długoletniego więzienia. Edmund otrzymał 9 lat więzienia, ojciec i syn Stefan po 8 lat, a matka Jadwiga 5 lat więzienia. Mężczyźni odbywali karę na terenie Brandenburgii, Jadwiga May w więzieniu w Jauer. Przez cały okres pobytu w więzieniu czyniono starania o przedterminowe zwolnienie. Wysiłki te początkowo nie były skuteczne. Tymczasem Jadwiga po odbyciu pełnej kary wróciła do Szczecina, gdzie uporządkowała sprawy majątkowe i po otrzymaniu nakazu natychmiastowego opuszczenia Niemiec, udała się do Poznania. Zamieszkała u państwa Delingerów przy ulicy Grottgera. Dalsze starania o zwolnienie męża i synów okazały się skuteczne. Pani May otrzymała z Kancelarii Prezydenta Mościckiego zawiadomienie, że pozostali członkowie jej rodziny zostaną uwolnieni. Pisano wówczas „Można sobie wyobrazić radość ojca i synów Mayów, zacnych kościaniaków, którzy po 5 i pół roku ciężkiego więzienia cierpianego dla Polski mogli wstąpić na ziemię ojczyzną”.

### Zemsta defraudanta

Jakie były dalsze losy rodziny Mayów? Około 1929 r. Franciszek z żoną i synem Stefanem osiedlił się w Grodzisku Wlkp., gdzie prowadził – podobnie jak w Szczecinie – hurtownię i sklep tytoniowy. W dniu 3 listopada 1937 r. zmarła w Grodzisku żona Franciszka. Krótko przed II wojną światową Franciszek wyjechał do siostry swojej żony, która mieszkała w Świnoujściu i prawdopodobnie dzięki temu uniknął niemieckich represji. Zginął 5 kwietnia 1944 r. w czasie bombardowania. Syn Stefan zginął 8 września 1943 r. w Berlinie Charlottenburgu. Drugi z synów Edmund podjął pracę w Związku Komunalnych Kas Oszczędnościowych, a następnie ożenił się z Anielą Żylińską, z którą miał 3 córki: Alicję (ur. w 1931 r.), Barbarę (ur. w 1934 r.) i Halinę (ur. w 1938 r.).

W 1930 r. w Miejskiej Kasie Oszczędnościowej w Lesznie wykryto nadużycia i nadzór bankowy wyznaczył Edmunda do zbadania sprawy. Jeden ze sprawców nadużyć niejaki Grzesik (Grzesiak) mając żal do Edmunda ciężko go postrzelił. Po wyjściu ze szpitala Edmund został w 1932 r. mianowany dyrektorem Miejskiej Kasy Oszczędnościowej w Lesznie

i funkcje tę pełnił do wybuchu II wojny światowej. 20 sierpnia 1939 r. wysłał całą rodzinę do państwa Delingerów w Poznaniu dokąd sam przybył 3 września tegoż roku, następnie ewakuował się z rodziną do Lublina. Po pewnym czasie wszyscy wrócili do Poznania, gdzie Edmund początkowo pracował na kolei, a następnie w biurze firmy Neue Heimat. 21 listopada 1941 r. został aresztowany i osadzony w Forcie VII, gdzie przebywał do kwietnia 1942 r. Po tej dacie wraz z transportem więźniów został wysłany do obozu w Mauthausen. Tam zginął 11 maja 1942 r. Gestapo powiadomiło żonę Edmunda, że został zastrzelony w czasie ucieczki. Po wojnie skontaktował się z rodziną jeden ze współwięźniów Edmunda, który pracował z nim w kamieniołomach i powiedział, że Edmund był bardzo osłabiony i w tym stanie jeden ze strażników zepchnął go w przepaść.

### Typowa rodzina?

To nie koniec ofiar poniesionych przez rodzinę Mayów w okresie II wojny światowej. Kolejną ofiarą był najmłodszy syn Wojciecha – Stefan ur. 30 lipca 1890 r. Był powstańcem wielkopolskim – dowódcą kompanii. W czasie wojny polsko-bolszewickiej został ranny nad Berezyną, za dzielność odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. W 1925 r. w stopniu kapitana został przeniesiony do rezerwy. W 1939 r. zmobilizowano go do Ośrodka Zapasowego 14 Dywizji Piechoty. W okolicach Warszawy został ranny. W niewyjaśnionych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej i w 1940 r. zamordowany w Katyniu. Z rąk hitlerowców poniósł śmierć także jeden z wnuków Wojciecha – Józef, który w stopniu sierżanta WP został uwięziony w obozie koncentracyjnym w Dachau i tam zginął. Kolejny wnuk podchorąży WP Jan został ukamienowany w obozie Flossenbug II 4 kwietnia 1943 r. Inny z wnuków Wojciecha – Michał Kajak prowadził w czasie wojny w Czaczu radiowy punkt nasłuchowy, a uzyskane wiadomości przekazywał władzom Armii Krajowej. Ten krótki opis dziejów rodziny z kościańskim rodowodem pozwala postawić pytanie, czy była to typowa polska rodzina? Należy także mieć nadzieję, że dalsze poszukiwania pozwolą uzupełnić wiedzę i przedstawić w pełnym świetle dzieje tej bohaterskiej rodziny.



Grób Mayów na Starym Cmentarzu w Kościanie.

Fot. Teresa Masłowska

JAN PAWICKI

# „Powstrzymać zalew chamstwa”\*)

## Eugenika sarmacka. Druga porażka doktora Judyma

*„Jestem wierzącym katolikiem i przedstawicielem młodego narodowego pokolenia, gotowego do najwyższych poświęceń w służbie ojczyzny. Naszym zdaniem przyszłość Polski leży w wychowaniu zdrowych moralnie i fizycznie nowych pokoleń. Aby wychować takie pokolenia musimy przeciąć nici wiążące nas z degeneracją przeszłości, zaszczerpioną nam przez obcych w okresie niewoli, ponadto musimy rozwikłać szereg spraw, jak np. kwestię żydowską, która jest niemalże sprawą życia i śmierci naszego społeczeństwa. Rozbijając i niszcząc czynniki gangreny duchowej i fizycznej, musimy zwalczać jej przejawy moralne i fizyczne, i to nie półśrodkami, ale w sposób radykalny. Tylko ostre środki mogą dziś pomóc. W zakresie obrony przed degeneracją fizyczną, jednym ze środków celowego odrodzenia jest ustawa eugeniczna w jej obecnej treści”.*

To młody narodowiec, student Waldemar Olszewski, polemizuje na łamach „ABC” ze stanowiskiem ks. Zygmunta Kaczyńskiego, dyrektora Katolickiej Agencji Prasowej. Gazeta nagłośniła projekt ustawy Leona Wernica i rozpięła ankietę wśród czytelników. Wyowiedz powyższa jest może mniej typowa w swojej gwałtowności, ale jeśli wierzyć redakcji pisma, reprezentatywna dla postaw młodszych narodowców. Lecz już mniej dla konserwatywnych ludzi prawicy, z których wielu (na łamach „Myśli Narodowej” i „Kuriera Warszawskiego”) skrytykowało projekt Wernica jako ślepe naśladownictwo ustawy niemieckiej – albo jako niezgodne z etyką chrześcijańską.

Dlaczego z tych projektów nic nie wyszło? Magdalena Gawin wskazuje na fakt, że eugenika negatywna miała przeciwników we wszystkich obozach ideologicznych, lecz niewielu entuzjastów wśród polityków. Nie pomogło, że piśmudzyk Leon Wernic, próbował wpisać poprawę rasy w tradycję legionów. „Eugenistów polskich ród, legionistów naszych wzmocni trud” – to słowa z hymnu Polskiego Towarzystwa Eugenicznego, które śpiewano na konferencjach. A podczas wystawy eugenicznej w Warszawie w 1936 roku pod portretem Marszałka umieszczono jego cytat: „Zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym, silniejszym – oto nasze zadanie”. Magdalena Gawin uważa, że na niepopularność eugeniki, obok negatywnej postawy Kościoła, wpłynął odstraszący przykład Niemiec oraz fakt, że w tej nauce rej wodzili Amerykanie, Skandynawowie i Niemcy, nierzadko rasiści,

w oczach których ludy słowiańskie były genetycznie podejrzane. Ani polscy ani francuscy naprawiacze rasy nie mogli się czuć komfortowo w tej międzynarodówce blondynów.

Niepowodzenie eugeniki nad Wisłą nie oznacza, że Polacy byli niewrażliwi na tę pokusę. Można nawet twierdzić, że byli w pewnym sensie szczególnie podatni, w innym sensie ideologicznie zaszczerpieni, a w jeszcze innym odepchnięci oraz nieprzygotowani. To jest że mieli – moralny fart.

Zachowało się w środkowej Anglii piękne Shrewsbury otoczone przez miasteczka potworki. W latach 60. Shrewsbury też pragnęło się zmodernizować, zastąpić średniowieczne kamieniczki betonem i poszerzyć ulice. Ale Shrewsbury nie miało na to kasy i zostało z tyłu.

Jak już być zacofanym, to przynajmniej w odpowiednim momencie. Kiedy szwedzki parlament w 1934 roku ustanawiał prawo o sterylizacji, reforma ta nie wymagała żadnych inwestycji. Wystarczyła kancelaria, kilkudziesięciu urzędników i telefon. Infrastruktura była już na miejscu: najskuteczniejszy w świecie system ewidencji ludności, uspołeczniona służba zdrowia, obowiązek szkolny oraz cała klasa urzędników od stuleci wprawionych w kontrolowaniu prowadzenia się obywateli. Nic takiego w Polsce nie istniało. Nawet wprowadzona w życie taka ustawa byłaby nieskuteczna. A poza tym – w Polsce lat 30. nie miała tak naprawę sensu. Sterylizacje opłacały się tylko w państwach o pokaźnych budżetach socjalnych. Jak próbowaliśmy dowieść wcześniej, to nie perspektywa wytępie-

nia za tysiąc lat głuchoty czy epilepsji pociągała prawodawców, tylko obietnica, że już w następnym budżecie mniej będzie wydatków na dzieci biedaków, alkoholików i innych niespolegliwych. Być może wierzyli, że przy okazji wyplenią przestępczość, „ograniczenie” albo inszą faktyczną lub wymyśloną dziedziczną niedomogę. Ale sama ta wiara nie wystarczyła. Politycznie decydującym argumentem było wszędzie – także w Trzeciej Rzeszy – odciążenie budżetu.

Dodajmy jeszcze ostatnią okoliczność, na przykładzie kwartalnika „Higiena Psychiczna”, który interesuje nas szczególnie, między innymi z względów osobistych. Otóż w ostatnim numerze tego pisma, w 1938 roku, dowiadujemy się, że Leon Wernic, główny propagator eugenicznych sterylizacji – składa broń. Mało, że odkłada na przyszłość projekty ustawy o sterylizacji „małowartościowych”. Uważa nawet, że ci, co takowych żądają, niedobry odają eugenicie przysługę. Należy walczyć wyłącznie o eugenikę pozytywną: „ubezpieczenia na wypadek porodu, karmienia, wychowania dzieci, zabezpieczenia posagu i warsztatu pracy muszą stanowić najważniejsze postulaty eugeniki pozytywnej”.

Leon Wernic nie zmienił bynajmniej poglądów. Natomiast zrozumiał, że jego projekty nie mają szans powodzenia. A dlaczego, wyczytać można z roczników tej samej „Higieny Psychiczej”.

Idea „Higieny Psychiczej” z eugeniką niewiele miała wspólnego. Zaczęło się od młodego urzędnika skarbowego w Nowym Jorku. Po nieudanej próbie samobójczej 22-letni

Clifford Whittingham Beers został zamknięty w zakładzie psychiatrycznym. Spędził tam trzy lata. Po wyjściu napisał książkę o swojej chorobie oraz o tym, jak był w szpitalu traktowany. „A mind that found itself” (Dusza, która odnalazła siebie samą, 1908) to chyba jedyny przypadek kiedy pacjent, własnymi słowami dokonał przełomu w historii psychiatrii. Już tego samego roku powstało z inicjatywy Beersa Towarzystwo Higieny Psychiczej w Connecticut. Trzydzieści lat później podobne towarzystwa istnieją w 18. krajach, od Japonii po Bułgarię. Zrzeszają głównie psychiatrów. W Europie pionierem jest francuski lekarz Édouard Toulouse, który w 1920 roku zakłada Francuska Ligę Higieny Psychiczej.

Żeby zrozumieć, o co im chodziło, wypada przypomnieć, że w latach 30. w oświeconej Francji do szpitala psychiatrycznego można się było dostać wyłącznie z nakazu policji. W oczach obywateli taki szpital równał się z więzieniem, a psychicznie chore – z niebezpiecznym szaleńcem lub idiotą. I jako taki nieszczęsny Beers, cierpiący na de-

presję i parnoję, był traktowany. Głównym celem ruchu Higieny Psychiczej było więc zdjęcie stygmatu z ludzi umysłowo chorych, oddramatyzowanie choroby i oddzielenie pacjentów, których można leczyć od wszystkich innych nieszczęśników, którzy z różnych powodów nie powinni przebywać na wolności. Edouard Toulouse dokonuje historycznego przełomu, kiedy w 1925 roku przy szpitalu Saint-Anne w Paryżu organizuje lecznictwo otwarte, przychodnie i opiekę pozazakładową, czyli to, co dzisiaj uważamy za normalną psychiatrię.

Szpital w Kościanie, gdzie wychodzi „Higiena Psychiczna”, realizuje ten sam program. Jesienią 1929 dyrektor Oskar Bielawski likwiduje separatki, gdzie w nieludzkich warunkach więziono najtrudniejszych pacjentów, każe zburzyć wysoki mur wokół szpitala, usunąć kraty w oknach. Zabrania krępowania pacjentów, a wydzieloną część szpitala przemianowuje na „Sanatorium dla nerwowo chorych” (pojęcie zakładu psychiatrycznego odpycha od leczenia), wprowadza, wzorem Toulouse’a, lecz-

nictwo otwarte oraz odmawia przyjmowania przestępców skazanych na internowanie. Od 1935 wydaje „Higienę Psychiczną”. Oto jej program:

„Troska nad zachowaniem psychicznego zdrowia człowieka; zapobieganie powstawaniu chorób psychicznych, doskonalenie metod pielęgnowania i leczenia psychicznie chorych, popieranie naukowych badań nad przyczyną powstawania tych chorób; zawodowe kształcenie i pielęgnowanie psychicznie niedorozwiniętych, uświadamianie społeczeństwa o istocie psychicznego schorzenia i psychopatii oraz wpływających stąd trudnościach dostosowania się chorej wzgl. wypaczonej jednostki do obowiązujących w społeczeństwie norm i urządzeń...”

Okazuje się, że higiena psychiczna spełnia także „zadania eugeniczne”, choć definicja eugeniki odbiega od przyjętej. Jest to mianowicie: właściwe wychowanie dziecka, wybór odpowiedniego zawodu, dobór towarzysza(ki) życia, udzielanie porad w chwilach życiowych niepowodzeń, zapobieganie przedwczesnej zgrzybiałości.



Dr Oskar Bielawski (siedzi pierwszy z prawej) jako jeniec Oflagu IIB Arnswalde. Fot. archiwum redakcyjne

„Wdzięcznym jest zadanie higieny psychicznej, skoro w jej mocy jest oszczędzić człowiekowi wiele bólu, nawet nieszczęście i łez, a pomnożyć szczęście na ziemi”. Czyli higiena psychiczna jest na służbie jednostki? Nie do końca. Bo z drugiej strony, czytamy, jest ten człowiek członkiem organizmu społecznego. A że „higiena psychiczna, stojąc na usługach człowieka kultury, jest tem samym higieną całej ludzkości, zatem przed celami, które wytyczyłaby ludzkość w swym nieustannym postępie i walce o lepsze wzory i formy życia, kora się egoistyczne dążenia jednostki”.

Przytaczam te prometejskie ustępy dosłownie, by wczuć się w poczucie misji psychiatry-reformatora lat 30. i by wykryć tę szparę, przez którą do programu humanitaryzacji psychiatrii wślizgnie się pogarda dla „głuptaków”. Leczenie chorych okazuje się być tylko jednym z aspektów tej misji, której celem była wyższa kultura ciała jak i ducha oraz szeroko pojęte „chronienie ludzkości przed cierpieniem”. Do prekursorów higieny psychicznej należą:

„Starożytna Grecja z jej ideałem psychofizycznej piękności, próby selekcji ludzkiego gatunku, uprawiane w Sparcie, wreszcie nauczania Sokratesa, Tomasza z Akwinu i Jana Jakuba Rousseau...”

„Opieka nad psychicznie chorymi, psychopatami i umysłowo cofniętymi zostanie nadal w rękach psychiatry (...) w każdym atoli razie opieka nad elementem psychicznie niewartościowym nie zasłoni psychohigienistę oczu na ogrom możliwości wykorzystania jego wiedzy na kształtowanie nowych twórczych form psychicznego życia oraz na usuwanie cierni i kolców z drogi, którą kroczy ludzkość ku celom wyższym, jego posłannictwa godnym”.

W całym tym programie eugenika znajduje się na marginesie. Oskara Bielawskiego temat ten wyraźnie nie interesował. W swoich publikacjach nie poświęcił mu wielu akapitów, a eugeniczne sterylizacje już w latach 20. odrzucił „ze względów zasadniczych, jak i praktycznych”.

Dlatego więc eugenika zajmuje tyle miejsca w „Higienie Psychicznej”, którą redagował? Nie dziwi, że pismo referuje niemiecką ustawę sterylizacyjną, bo to było wydarzenie. Ale znajdziemy także omówienia wszystkich innych, istniejących i planowanych aktów tego typu, od

Danii, Szwecji do Puerto Rico i polskich projektów Wernica. Nie brak też artykułów dyskusyjnych. Coś się tu wyraźnie nie zgadza. Celem higieny psychicznej jest przecież zdjąć stygmat z chorych i upośledzonych na umyśle, a działalność szpitala w Kościanie potwierdza ten program. Nie wolno nawet powiedzieć „chory” o pacjencie. Ma się mówić „kuracjusz”. Ratujemy więc godność pacjenta. Jednocześnie dyskurs eugeniczny wprowadza nowy stygmat, tych od urodzenia „psychicznie niedowartościowych”, „głuptaków”, „idiotów”. Czy i ci zaliczają się do kuracjuszy?

Nie mam prostego rozwiązania tej niekonsekwencji, ale mam podejrzenie. Do „Higieny Psychicznej” pisze elita polskiej psychiatrii, ordynatorów i dyrektorów szpitali. Jeśli przyjmiemy, że przejęli się jak Oskar Bielawski ideałami Beersa i pragną przekształcić swoje szpitale z więzień w sanatoria, to pozbyliby się chętnie pacjentów, których wyleczyć nie mogą, na przykład upośledzonych umysłowo, których pozamykano, żeby czegoś nie podpalili, dziewczynki nie molestowali lub by w ciąży nie zaszły. Tak rozumiem Witolda Łuniewskiego, oświeconego dyrektora zakładu w Tworkach, który sprzeciwia się stanowczo pomysłem zwalczania chorób dziedzicznych drogą sterylizacji (bo za mało wiemy o dziedziczności), natomiast zgadza się, by bez ich zgody sterylizować umysłowo upośledzonych, psychopatów i tym podobnych, bynajmniej nie z racji ich genów, tylko dlatego, że nie są zdolni „z powodu ich niedomogi psychicznej rozumieć swoich obowiązków rodzicielskich i obowiązków tych spełniać”.

Wiele wskazuje na to, że dyrektor Łuniewski takie właśnie osoby chętnie by (po operacji) wypisał ze swoich Tworek, żeby móc zająć się leczeniem schizofreników i innych rokujących poprawę. Żeby móc być lekarzem, a nie dozorcą więzienia. Eugenika w tym wydaniu to nie utopia polepszenia rasy, a raczej sposób na humanizację psychiatrii przez wykluczenie nieuleczalnych. Okropnie brzmi, ale oddaje dylemat psychiatry reformatora lat 30., co gwoli przywrócenia godności ludziom, którym życie pomieszało w duszy, czuje się zmuszony oddzielić ich grubą kreską od tych, którym natura pomieszała w mózgu.

Nie zawsze jest tak, że dobro zwycięża, bo tylko aniołów ma po swej stronie.

Witold Łuniewski przyczynił się wydatnie do obalenia projektów ustaw eugenicznych. Nie dlatego, że był wszelkiej eugenice przeciwny, nawet nie dlatego, że uznawał równą wartość wszystkich ludzi – bo nie uznawał – tylko dlatego, że był uczciwym naukowcem. Chcecie sterylizować psychopatów ze względów praktycznych – proszę bardzo. Tylko nie powołujcie się na medycynę, bo ona na temat dziedziczności psychopatii nie ma nic do powiedzenia.

Przywołałem publicystykę „Higieny Psychicznej”, bo na jej łamach eugeniści-naukowcy typu Łuniewskiego, nolens volens, utracili projekty eugenistów-entuzjastów (i populistów) typu Leona Wernica. Nawet nie dlatego, że byli zgodni w swoich zastrzeżeniach. Raczej właśnie dlatego, że byli niezgodni. W ciągu trzech lat swojego istnienia „Higiena Psychiczna” zademonstrowała (chyba nieświadomie), dlaczego ustawy eugeniczne nie miały w Polsce szansy. Nie sposób forsować brutalnego przymusu, powołując się na naukę o dziedziczności, kiedy co drugi lekarz kwestionuje jej naukowość, a co trzeci ma zastrzeżenia etyczne.

Nie było na przykład zgody, co do charakteru schorzeń psychicznych. Jeden członek komitetu redakcyjnego pragnie wytepić psychopatię, na co drugi, (pułkownik Jan Nelken) odpowiada, że to są często ludzie z talentem, a więc zupełne usunięcie psychopatów byłoby sprowadzeniem społeczeństwa do stanu gdzie „przeżuwanie stałoby wyżej od pędu naprzód (...) od wszelkiej oryginalnej myśli, a rozwój rzekomej kultury szedłby wyłącznie po linii zakazu. Sterylizacja szeroka jest sama przez się pomysłem psychopatycznym”.

#### MACIEJ ZAREMBA

\*) Tekst jest fragmentem nowej książki wybitnego szwedzkiego dziennikarza polskiego pochodzenia – syna związanego przez długie lata z Kościanem dr med. Oskara Bielawskiego. Książka pt. „Higienistę” ukaże się niebawem drukiem w Wydawnictwie „Czarne” w Warszawie. W niniejszym tekście nie zamieszczono licznych przypisów, które znajdują się na łamach wspomnianej książki.

# W krainie nieśmiertelnej książki

Rozmowa z dyrektorem Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu Wojciechem Spaleniakiem

**Biblioteka Raczyńskich zyska nowe skrzydło dobudowane do gmachu przy placu Wolności, o które długo i wytrwale walczyła. Uda się skończyć inwestycję na czas do przyszłego roku?**

– Nie tylko ukończymy budowę w terminie, ale nową bibliotekę otworzymy dla publiczności. Pieniądze na inwestycję w 60 proc. ponosi miasto, 40 proc. pochodzi ze środków unijnych. Wygraliśmy konkurs w 11. priorytecie Kultura i Dziedzictwo Kulturowe w programie Operacyjnym „Infrastruktura i Środowisko”. To będzie piękna, nowoczesna biblioteka, dorównująca zachodnim standardom. Zostanie tam przeniesiona obecna dusząca się już wypożyczalnia przy Św. Marcinie, która jest w stanie pomieścić do 20 tys. książek, dla porównania nowa – 90 tysięcy. Czytelnicy będą mieli wolny dostęp do półek. Ponadto przewidziano trzy nowoczesnie zorganizowane czytelnie: książek, czasopism i multimediiów. Jedno piętro zajmą magazyny, które docelowo będą mogły przechowywać około milion woluminów oraz pracownia i czytelnia zbiorów specjalnych – największych skarbów biblioteki. Z myślą o przywiązaniu najmłodszych do biblioteki i czytania otworzymy filię dla dzieci. Zgodnie z przysłowiem czym skorupka za młodu nasiąknie... Będzie działała bibliokawiarnia z prasą, dostępem do Internetu. Budynek będzie skomputeryzowany, wyposażony w klimatyzację oraz wszelkie dostępne nowinki techniczne związane z czytelnictwem. Zrobimy wszystko, by do biblioteki warto było przyjeżdżać nie tylko ze śródmieścia, ale także z dalszych rejonów miasta. Podług wszystkich znaków na niebie i ziemi będzie to nasza największa i najlepiej zaopatrzona filia w mieście.

**Czy zmieniają się warunki korzystania ze zbiorów?**

– Pozostaną takie same, korzystanie jest bezpłatne, przy czym od użytkowników spoza Poznania pobiera się kaucję za wypożyczanie do domu, która



Dyrektor Wojciech Spaleniak i Magdalena Bugajewska rodem z Kościana.

Fot. Teresa Masłowska

po oddaniu książek jest w całości zwracana. Chcę podkreślić, że zasady udostępniania w Bibliotece Głównej Raczyńskich są specyficzne; jeśli chodzi o zbiory z XIX w. i współczesne naukowe, które stanowią nasz księgozbiór podstawowy, to są udostępniane tylko na miejscu. Dzięki temu czytelnik, który potrzebuje daną książkę, ma dużą pewność, że ją w czytelni zastanie, a jeśli jest w czytaniu, może ją zarezerwować. Z drugiej strony wychodząc naprzeciw potrzebom uruchomiono także wypożyczalnię, w której można wypożyczyć do domu m.in. klasykę literatury pięknej oraz lektury szkolne.

**W 1830 r. bibliotece przyznano egzemplarz obowiązkowy z terenu Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Przez lata różnie z tym bywało, jak jest obecnie?**

– Po II wojnie światowej otrzymaliśmy regionalny egzemplarz obowiązkowy, jednak od kilku lat już nam nie przysługuje. Szczęśliwie, siłą tradycji wiele poznańskich wydawnictw nadal

bezpłatnie przysyła książki. Jednak zbiory powiększa się głównie przez zakupy. Rocznie wydajemy około miliona złotych na kupno nowych książek. Czy to mało czy dużo? Średnio, kwota ta wystarczy na zaopatrzenie w najważniejsze nowości potrzebne czytelnikom. Nasze zbiory specjalne wzbogacają także dary od osób prywatnych, czasem niezwykle wartościowe.

**Biblioteka jest niezwykle dumna z działu zbiorów specjalnych, czy wśród skarbów znajdują się materiały o Kościanie i powiecie?**

– Poprosiłem panią Magdalenę Bugajewską, kierowniczkę Oddziału Rękopisów o sporządzenie kwerendy i byłem zaskoczony liczbą zgromadzonych zbiorów o Kościanie. Wszystkich nie sposób podać, ale z ciekawszych wymienię chociażby wspomnienia walk na froncie Grupy Leszno powstańca wielkopolskiego Ignacego Andrzejewskiego, księgi rachunkowe z Kościana i Naclawia z XVIII w., akta kościoła katolickiego Św. Ducha z XVIII–XIX w., dzienniki Walerego Kwileckiego, który często odwiedzał Kościan, wspo-

mnienia księdza Milana Kwiatkowskiego z pobytu w kościańskim więzieniu, Forcie VII i obozie koncentracyjnym w Dachau. Myślę, że osoby interesując się historią Ziemi Kościańskiej znajdą tutaj wiele cennych źródeł informacji o regionie.

#### **Wydajecie czasopismo „Winieta”.**

– Pismo wydaje Biblioteka, a zespół redakcyjny stanowią jej pracownicy pod przewodnictwem Krzysztofa Kluppa. Ukazuje się od 1997 r. jako kwartalnik. Wydawane są różne czasopisma fachowe, branżowe, ale „Winieta” ma trochę odmienny profil, bo są tam artykuły naukowe, popularnonaukowe związane z książką, wydarzeniami kulturalnymi i życiem biblioteki. Pismo pokazuje życie biblioteki, która jest instytucją kultury. Poza udostępnianiem książek organizujemy liczne imprezy kulturalne, pracujemy z dziećmi. „Winieta” tę działalność kulturalną odzwierciedla.

#### **Czasopismo jest dostępne w wersji cyfrowej na stronie internetowej Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej.**

– Umieszczane jest także na stronie Biblioteki Raczyńskich oraz istnieje w wersji papierowej. Skoro wspomnieliśmy WBC, to chcę poinformować, że planujemy znacznie poszerzyć digitalizację naszych materiałów po oddaniu nowego skrzydła, w którym znajdzie się miejsce na pracownię digitalizacji zbiorów. Poznańskie uczelnie głównie są ukierunkowane na umieszczanie materiałów dydaktycznych; podręczników, skryptów. My stawiamy sobie za cel poszerzenie zasobu Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej o materiały regionalne. Chcemy także w większym stopniu niż dotychczas umożliwić dostęp do naszych arcydzieł.

#### **Czy biblioteka posiada własne wydawnictwa?**

– Wydawanie jest wpisane w nasze zadania statutowe, ale dzisiaj trudno wydawać książki z przyczyn finansowych. Od lat mamy ustaloną hierarchię potrzeb. Jeśli mamy do wyboru zakup nowości, organizowanie imprez kulturalnych, które cieszą się sporym zainteresowaniem lub wydanie książki za 40 tys. złotych, to wybieramy zakupy lub wieczór autorski. Wydajemy za to informatory o naszych zbiorach np. teatralnych, starodrukach, kartografii, o muzeach, ogólne o bibliotece, także katalogi, w ubiegłym roku wydaliśmy na przykład katalog rękopisów.

#### **W ponad 180 letniej historii biblioteki pracowali w niej zapewne wybitni bibliotekarze.**

– Było ich niemało, wymienię chociaż kilku. Józef Łukasiewicz – pierwszy bibliotekarz jeszcze za życia fundatora biblioteki hrabiego Raczyńskiego. Był historykiem, nauczycielem gimnazjalnym i publicystą, redaktorem i wydawcą prasy, pomagał także Tytusowi Działyńskiemu w tworzeniu biblioteki w Kórniku. Antoni Bederski, jeszcze w okresie zaborów był wicedyrektorem, a po 1918 r. dyrektorem. Ratował bibliotekę po wielkim kryzysie, w którym znalazła się po bankructwie fundacji Raczyńskiego. Skutecznie zabiegał o to, by miasto przejęło bibliotekę na własny budżet. Jednym z najwybitniejszych dyrektorów przedwojennych był Andrzej Wojtkowski. W „Kronice Miasta Poznania” okresu międzywojennego jest mnóstwo artykułów tego wybitnego historyka dziejów Wielkopolski. Po wojnie Janusz Dembski, który z wypożyczalni przeistoczył bibliotekę w prawdziwą instytucję kultury, powstawały nowe filie, wzbogacała się sieć, rozwijała działalność kulturalna.

#### **Wróćmy do współczesności, jak przebiega wdrażanie systemu, który szalenie ułatwia życie czytelnikom, umożliwiając przeszukiwanie katalogów bibliotecznych i zamawianie książek z domowego komputera?**

– Biblioteka Raczyńskich jest członkiem Poznańskiej Fundacji Bibliotek Naukowych, która wdraża zintegrowany biblioteczny system informatyczny Horizon. Jest prawie w pełni skomputeryzowana ...

#### **Prawie – jak w reklamie – robi różnicę...**

– „Prawie” w naszym przypadku jest takie, że od 1998 r. nie prowadzimy już katalogu kartkowego, wszystko co wpłynęło po tej dacie znajduje się w katalogu elektronicznym, który jest dostępny w Internecie. Ale dzieło jeszcze nie zostało ukończone, pozostało jakieś kilkanaście tysięcy tytułów sprzed 1998 r., które należy wprowadzić do systemu. Planowaliśmy do nowego budynku wprowadzić tylko katalog komputerowy, żeby nie straszły już skrzynki z papierowymi kartami, ale nie uda się. Chodzi o koszty, chociaż nawet gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, to potrzebni są fachowcy, którzy znają się na sztuce opracowywania zbiorów, niełatwo o nich. Opracowujemy zbiory od najnowszych do najstarszych; stąd książki najczęściej poszukiwane przez

czytelników są w katalogu elektronicznym. Ponadto prawie wszystkie filie są wyposażone w komputery, z dostępem do Internetu, kilka z nich już włączono do systemu Horizon.

#### **W dobie Internetu, książki cyfrowej, wciąż malejącego czytelnictwa jakie wyzwania stoją przed biblioteką?**

– Naszym strategicznym zadaniem jest, by przez najbliższe lata zainteresowanie Biblioteką Raczyńskich wzrastało. Wbrew krajowym wynikom, w ubiegłym roku zanotowaliśmy – wprowadziliśmy niewielki – ale wzrost czytelnictwa. Naszą ambicją jest, by liczba czytelników i czytelnictwo wzrastało. Staramy się ciągle uatrakcyjnić i dostosowywać nasze programy merytoryczne do potrzeb współczesnego czytelnika; oferujemy programy dziecięce, imprezy kulturalne dla dorosłych np. takie sztandarowe imprezy jak spotkanie z arcydziełem, salon noblistów, dla dzieci bajeczne niedziele u Raczyńskich. Uważamy, że przyciągając najmłodszych na te imprezy, zachęcimy ich do sięgnięcia także po książkę. Jeśli ludzie tracą zainteresowanie książką, obniży się stopień edukacji społeczeństwa. Mam jednak nadzieję, że tak nie będzie. Prawda jest bowiem taka, że nie ma innej drogi podnoszenia poziomu życia kulturalnego niż przez czytanie.

**TERESA MASŁOWSKA**

\*

Wojciech Spaleniak, ur. w 1943 r. w Gołuchowie. Ukończył historię na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Przez rok pracował jako bibliotekarz w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. W latach 1969 – 1975 był starszym asystentem w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informatyki Naukowej UAM. Od 1975 do 1982 r. zastępca dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu. Od 1982 r. zatrudniony w Bibliotece Raczyńskich jako zastępca dyrektora. Od 1997 r. jest jej dyrektorem. Przez kilka lat prowadził zajęcia dydaktyczne z bibliografii, informacji naukowej, organizacji i zarządzania bibliotekami. (tm)

\*

Bibliotekę Raczyńskich ufundował Edward hrabia Raczyński: społecznik, mecenas sztuki, autor i wydawca. Biblioteka otworzyła podwoje dla czytelników 5 maja 1829 r. w budynku przy placu Wolności. Z jej zbiorów mógł korzystać każdy poznanianin. Na początku księgozbiór liczył kilkanaście tysięcy woluminów. Był syste-

matycznie powiększany przez hr. Raczyńskiego. W okresie zaboru Niemcy starali się zgermanizować instytucję, co nie do końca się udało, ponieważ pozostawili polski księgozbiór i personel. W 1924 r. miasto wzięło na swoje barki finansowanie biblioteki. Placówka bardzo ucierpiała w II wojnie światowej, w styczniu 1945 r. w trakcie walk o Poznań Niemcy zniszczyli bibliotekę, spłonął gmach przy placu Wolności, ogień strawił ponad 90 proc. zbiorów. Cudem ocalało około 17 tysięcy jednostek zbiorów specjalnych, które w 1943 r. zapobiegliwy Józef Raczyński wywiózł do majątku Obrzycko.

Po wojnie uratowane zbiory zgromadzono w gmachu przy ul. Św. Marcina 65, rozpoczęto organizację sieci filii bibliotecznych. W 1956 r. ukończono odbudowę budynku przy placu Wolności, obecnie mieszczą się tam zbiory specjalne oraz siedziba dyrekcji. Biblioteka



Gmach biblioteki przy pl. Wolności.

Fot. Teresa Masłowska

posiada 49 filii oraz muzea: Henryka Sienkiewicza, Ignacego Kraszewskiego, Kazimierzy Hłakowiczówny, Izbę Pamięci Jerzego Pertka. W bibliotece pracują 252 osoby. Księgozbiór ogółem liczy około 1 600 000 tys. woluminów. W 2012 r. planuje się otwarcie nowe-

go skrzydła, które będzie dobudowane do gmachu przy placu Wolności. Będą tam działały nowoczesnie wyposażona wypożyczalnia, czytelnia książek, czasopism, multimediów i zbiorów specjalnych oraz magazyny. (tm)

# Talent i pasja

Edward Mocek od najmłodszych lat związał się z kościańskim sportem, szczególnie pasjonowała go piłka nożna. Już w szkole podstawowej, w przeciwieństwie do brata, który pilnie się uczył, czas wolny wolął spędzać z kolegami na boisku. Nie był orłem w szkole, co spędzało sen z powiek rodzicom, ale bez problemu ukończył szkołę podstawową, następnie szkołę handlową w Lesznie. Podjął pracę w Zakładach Mięsnych w Kościanie. W dziale kontraktacji jako pracownik umysłowy przepracował tam 34 lata. Ani szkoła, ani praca nie zdołały przestonić jego miłości do piłki nożnej. Przez wiele lat grał w piłkę, a później został działaczem sportowym.

## W siódmym niebie

Talent piłkarski objawił się u niego od najmłodszych lat.

– Blisko „Ferfety” była miejska plaża i pływalnia, a przed nimi dzikie boisko piłkarskie. Z kolegami spotykaliśmy się tam, żeby trochę „pokopać”. I tam właśnie wypatrzył nas Józef Krawczyk – kierownik pierwszego zespołu piłkarskiego KKS-u. Przychodził, obserwował i wybrał najlepszych. Miałem 17 lat kiedy trafiłem do piłkarskiego Kolejowego Klubu Sportowego w Kościanie. Byłem w siódmym niebie. Najpierw grałem w trampkarzach, później w juniorach młodszych.

Zaraz po wojnie w Kościanie działały dwa kluby piłkarskie KKS oraz „Obra”

Kościan. Po pewnym czasie kluby połączyły się, tworząc jeden Kolejowy Klub Sportowy „Obra” Kościan. To było bardzo dobre posunięcie. Odtąd piłka nożna w Kościanie zaczęła funkcjonować na dobrym poziomie. Pierwszym prezesem klubu został Bolesław Włodarczyk. Trenerem zespołu – Bogusław Kazimierzczak zwany „Malcem”. Ludzie go uwielbiali. Był symbolem klubu. Wspaniały człowiek, ale przede wszystkim znakomity piłkarz i trener. To on jako trener i jednocześnie zawodnik po raz pierwszy wprowadził seniorów „Obry” do III Ligi.

– To było coś! Rok 1957 i następne lata okazały się rewelacyjne dla kościańskiej piłki. Jestem dumny i szczęśliwy, że było mi dane grać z zawodni-

kami tamtej drużyny, jak: Józef Rajewski, Marian Matołka, Dezydery Śmigielski, Stanisław Wdowicki, Stefan Polowczyk, Henryk Mucha, Jan Szafranek, Bogusław Kaźmierczak, Aleksander Polowczyk, Jan Smoczyk. Pod wodzą „Malca” tworzyliśmy prawdziwy, zgrany zespół. Byliśmy przyjaciółmi. Do dziś z niektórymi utrzymuję kontakt.

## Temperamentny piłkarz

Drużyna zjeżdżaliśmy powiat i Wielkopolskę, grali w Pile, Obornikach, Rawiczu, Stęszewie, Rawiczu, Luboniu i Poznaniu. Długo by można wymieniać. Nieraz zdarzały się zabawne przygody.

– Pamiętam w Rawiczu, prezes Włodarczyk obiecał nam po sto złotych, ▶

jeśli wygramy. Było o co grać, więc się spięliśmy i oczywiście wygraliśmy – śmieje się Mocek. A prezes wypłacił każdemu tylko po 50 złotych. Wściekłem się, bo nie dotrzymał obietnicy, a że buty i temperamentu mi nie brakowało, razem z Szafrankiem – na oczach prezesa – podarliśmy pięćdziesięciozłotowe banknoty. Nie było to zbyt mądre, bo w Polsce Ludowej niszczenie państwowych pieniędzy było przestępstwem. Ale prezes z humorem potraktował nasz wybrzyk.

W historii kościańskiej piłki zdarzały się dramatyczne zdarzenia. „Obra” grała mecz w Stęszewie. Przeciwnicy okazali się poważnymi rywalami. Mecz był trudny.

– Jeden z przeciwnych zawodników nacierał na bramkę, a był dobry, szybki. Naszemu obrońcy przysparzał wielu problemów. W końcu dostał górną piłkę. Obrońca jednak był potężnym, silnym piłkarzem. Wpadł z impetem na przeciwnika i zamiast w piłkę, trafił prosto w serce przeciwnika. Siła uderzenia była tak ogromna, że ten padł na trawę. Już nie wstał. Józek bardzo to przeżył, nie mógł sobie wybaczyć. Cała drużyna była wstrząśnięta. Zakończyło się to sprawą sądową. Uniewinnili go, przecież nie zrobił tego umyślnie. To był nieszczęśliwy wypadek. Taki też bywa sport...

Edward Mocek grał tylko na jednej pozycji jako środkowy pomocnik (stopper). Na tej pozycji czuł się najlepiej; wtedy mógł działać jak najwięcej dla drużyny.

– Zasady futbolu nie zmieniły się. Dzisiaj gra się tak jak kiedyś, podobna taktyka, ustawienie. Jedynym problemem może być atmosfera wokół piłki nożnej. Wydaje mi się, że kiedyś grano bardziej czysto. Nie było tyle fauli, symulowania. Ponadto kiedyś grało się dla przyjemności i satysfakcji. Dzisiaj często najważniejsze są pieniądze. I to jest największa bolączka współczesnej piłki. Kiedyś ludzie robili wiele rzeczy, bo po prostu chcieli. Teraz często oczekują za to zapłaty.

### Wierny kibic

Piłka pochłaniała większość czasu wolnego. Znalazł jednak czas na założenie rodziny. Ożenił się z kościanianką. Żona pracowała w cukrowni, ale także pasjonowała się sportem, szczególnie biegami. Uczestniczyła w licznych zawodach miejskich i powiatowych. Państwo Mockowie doczekali się dwóch córek: Jolanty i Małgorzaty.

Żadna jednak nie przejęła pasji i sportowego zacięcia po rodzicach.

– Mimo licznych obowiązków domowych mąż nie zrezygnował z futbolu. Tak poświęcał się piłce, że omal nie przeoczył chrztu swojej młodszej córki. Wracał z meczu i w ostatniej chwili zdążył na uroczystość – śmieje się pani Mocek.

Pod koniec lat 50. poczuł, że czas zakończyć karierę piłkarza. Jednak piłką interesować się nie przestał. Tylko że teraz poświęcał jej czas jako działacz; z początku był kierownikiem drużyny trampkarzy, później juniorów, w końcu kierownikiem drugiej drużyny. W 1966 r. został skarbnikiem „Obry”. Był nim przez 44 lata; ścigał składki, wypłacał diety, opłacał sędziów. Dbał o sprawy organizacyjne klubu. Zawsze miał czas, by poświęcić swoją wiedzę i doświadczenie kościańskiej piłce nożnej. W 2010 r. uznał, że czas na odpoczynek. Dziś jest czynnym i wiernym kibicem kościańskiej „Obry” i poznańskiego „Kolejorza”. Na pytanie jakie cechy potrzebne są, by być dobrym piłkarzem odpowiada krótko: talent i pasja.

**KATARZYNA ŻUREK**



*I Drużyna KKS – Obra Kościan w 1957 r., trzeci od lewej Edward Mocek.*

*Fot. w zbiorach bohatera artykułu*



# Kronika zwykłych przypadków (3)

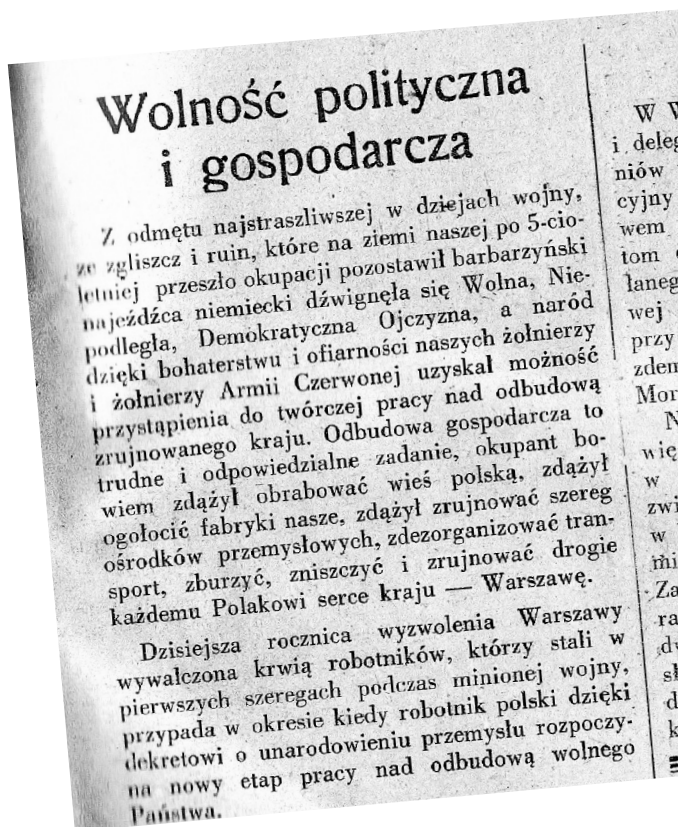
To jest dokument tamtych czasów. Akcja toczy się w 1946 roku. Tekst powstał w oparciu o raporty Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej i dokumenty Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie, zachowane w archiwum poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Wzbogacono go o relacje i prywatne notatki byłych funkcjonariuszy. Tytuł ma swoje źródło w wypowiedzi jednego z nich: „To wszystko, to były zwykłe, powojenne przypadki”.

## 1 kwietnia

Jan Tomaszewski zgłosił na posterunku milicji kradzież z włamaniem do kawiarni w Śmiglu. Inwentaryzacja wykazała, że włamywacze skradli m.in. 8 białych obrusów, 16 białych ręczników, 800 sztuk papierosów, 3 butelki szampana, 6 litrów wódki i 2 pary trzewików. Szybko ustalono, że sprawcami byli żołnierze Armii Czerwonej, bo Anna S. – chcąc pomóc w prowadzonym dochodzeniu – oświadczyła, że kupiła od czerwonoarmistów jedną parę skradzionych butów. Sprawców nie odnaleziono, za to przed Sądem Grodzkim w Śmiglu za kupno trzewików stanęła pani Anna – uznana za paserkę i wroga porządku publicznego.

## 2 kwietnia

Kościański starosta powiatowy mecenas Karol Fischbach wysłał specjalne sprawozdanie do Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu za miesiąc marzec 1946 r. Napisał w nim m.in.: „W miesiącu sprawozdawczym miały miejsce 2 zabójstwa połączone z rabunkiem, a mianowicie w Kurowie gm. Kościan i w mieście Wielichowie. W mieście Wielichowie dokonał zabójstwa żołnierz Armii Radzieckiej na osobie wracającej z pola za to tylko, że osoba zamordowana nie wydała mu bata, którego od niej żołnierz zażądał, a który to bat należał do osoby zamordowanej”.



## 3 kwietnia

Z pół majątku w Jezierzycach zginął sprzęt rolniczy. Nieznani sprawcy skradli 5 bron. Długotrwałe dochodzenie nie przyniosło wyjaśnienia sprawy. Skończyło się na hipotezie, że brony zostały sprzedane na złom w kościańskim punkcie skupu – ale twardych dowodów nie zgromadzono.

## 19 maja

\* Ireneusz S. i Wiktor F. z Kościana (obaj po 20 lat) przy szosie przed lasem do Racotu zostali napadnięci przez trzech uzbrojonych żołnierzy Armii Czerwonej. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego ustalił, że Rosjanie „rozebrali kościaniaków z odzieży i butów, zabrali zegarek i udali się w nieznanym kierunku. Sprawców nie wykryto, ponieważ radzieckie władze nie dopuściły do konfrontacji poszkodowanych z żołnierzami, którzy są zatrudnieni przy pilnowaniu baraków na Kurzejgórze, w których posiadają skład amunicji, a na których pada podejrzenie popełnienia czynów”.

\* Pod wsią Słonin żołnierze z KBW, funkcjonariusze MO i SB z Kościana stoczyli potyczkę z 18-osobową grupą z oddziału Mariana Rączki ps. „Kościuszko”. W czasie akcji zginęli Franciszek Kuklewski ps. „Wilk” i furman Czesław Lossy z Czempinia. Poległ funkcjonariusz PUBP ppor. Wincenty Taciak. W ręce UB dostał się członek oddziału „Kościuszki” Józef N. ze Świńca.

## 29 maja

Zapoczątkowano specjalną akcję bezpieczeństwa przeciwko „wrogim elementom” w Milicji Obywatelskiej. Bezpośrednią przyczyną stały się wydarzenia w Ka-

zna

a

jach wojny, zej po 5-cio-barbarzyński Wolna, Niea, a naród ych żołnierzy kał możliwość id odbudowa gospodarza to okupant bolską, zdążył jnować szereg anizować tran-nować drogie Warszawę.

ia Warszawy którzy stali w inionej wojny, k polski dzięki yslu rozpoczy-dowa wolnego

## 18 państw europejskich uczi Warszawę

W Warszawie odbyła się konferencja prezesów i delegatów poszczególnych Związków b. więźniów politycznych, na której komitet organizacyjny zjazdu ogólnopolskiego pod przewodnictwem ob. Cyrankiewicza zreferował reprezentantom całej Polski program wielkiego zjazdu, zwołanego na 3 i 4 lutego do sali posiedzeń Krajowej Rady Narodowej w Warszawie („Roma” przy ul. Nowogrodzkiej). Protektorat nad zjazdem objęli prezydent Bierut, premier Osóbka-Morawski i marszałek Rola-Żymierski.

Na zjazd zaproszono delegacje organizacji b. więźniów politycznych 18 państw europejskich w celu utworzenia międzynarodowej federacji związków b. więźniów politycznych z siedzibą w Warszawie. Sprawy te zreferował członek komitetu ob. Chrómecki, wyższy urzędnik MSZ. Zastrzeżenia przeciwko utworzeniu takiej federacji z siedzibą w Warszawie wysunęły jedynie dwa kraje — Francja i Czechosłowacja. Czechosłowacja posiada ambicję utworzenia takiej federacji z siedzibą w Pradze. Wszystkie inne kraje, reprezentujące razem 90 proc. wszystkich

b. więźniów politycznych, bądź to zaakceptowały projekt polski, bądź to jeszcze nie udzieliły odpowiedzi.

Zjazd zapowiada się jako jedna wielka manifestacja zjednoczonego frontu ofiar faszyzmu. Żadne miasto w Europie nie może wysunąć tak wielkich praw moralnych do takiego zjazdu, jak właśnie bohaterska Warszawa. Na oskarżających hitleryzm gruzach tego miasta zrodzi się potężna organizacja, której jednym z głównych zadań będzie bezlitosna walka z hitlerowskimi i hitleryzującymi burzycielami pokoju światowego.

Ze strony rządu komitet organizacyjny zjazdu doznaje wiele poparcia i pomocy. Delegaci zagraniczni, którzy po zjeździe zwiedzą całą Polskę, będą gośćmi Rządu Polskiego. Delegaci polscy na zjazd otrzymają karty uczestnictwa, uprawniające ich do bezpłatnego przejazdu kolejami państwowymi do Warszawy i z powrotem. Setki tysięcy b. więźniów politycznych reprezentować będzie na zjeździe 2.000 delegatów. Będzie to manifestacja, jakiej stolica Polski nie była dotąd świadkiem.

Fragment kościańskiego dziennika — „Biuletyn Powiatowy” z 1946 r. W zbiorach autora tekstu

mieńcu, które kościańska bezpieka relacjonowała w następujący sposób: „W nocy z 28 na 29 V 1946 około godz. 2.30 w nocy został dokonany napad na posterunek MO w Kamieńcu, który wykonała grupa przybyła z powiatu Nowy Tomyśl w liczbie około 30 osób, ubrani byli częściowo w mundurach Wojska Polskiego, niemieckiego oraz po cywilnemu, uzbrojeni byli w automaty, pistolety, granaty ręczne i jeden karabin maszynowy. Na posterunek wtargnęło około 11 bandytów, reszta obstawiła w koło budynek. Zawołany po imieniu funkcjonariusz pełniący służbę inspekcyjną otworzył im drzwi i bandyci bez żadnych przeszkód weszli do budynku, gdzie w tym czasie byli obecni funkcjonariusze MO Zalesiński Antoni — dyżurny, Maciejewski Stanisław — komendant posterunku, Suszko Władysław i funkcjonariusz PUBP Kościan — referent gminny Jagielski Eugeniusz. Z posterunku zrabowano 7 karabinów ręcznych, 3 pistolety, trzy granaty ręczne oraz dwa rowery. Nadmieniamy, że bandyci nie robili milicji żadnej krzywdy, opuścili posterunek zabierając naszego referenta, zrzucili go ze schodów z piętra na parter, poczym udając się w drogę w stro-

nę powiatu nowotomyskiego, pobili go dotkliwie, wypytyjąc o różne sprawy i strzelając z karabinu nad jego głowę. Funkcjonariusz nasz wykorzystując odpowiednią chwilę w drodze zdołał zbiec, pomimo oddawanych za nim strzałów”.

### 30 maja

Około godz. 23-iej w Jerce zjawiała się 20-osobowa grupa pod dowództwem Mariana Rączki ps. „Kościszko” i — jak to określiła bezpieka — „dokonała trzy napady terrorystyczno — rabunkowe w tejże wiosce: 1) Na agencję pocztową zabierając 7 418 zł. oraz uszkadzając dwa aparaty telefoniczne; 2) Na spółdzielnię „Rolnik” zabierając 303 zł oraz 7 pieczętek różnych i maszynę do pisania; 3) Na kierownika Mleczarni, gdzie zrabowano 17 800 zł. i 360 kg masła, pozostawiając pokwitowania podpisane przez Armię Krajową sierżanta „Wilka” i porucznika „Kościszko”. Otrzymaliśmy wiadomość telefoniczną o dokonanym napadzie następnego dnia o godz. 4-iej rano. Wszczęta natychmiastowa operacja za daną bandą nie dała żadnego rezultatu z tytułu niemożliwości znalezienia śladów, w którym kierunku banda się udała”.

### 31 maja

Treść ściśle tajnego raportu szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie ppor. UB Aleksandra Gredczyszyna: „W dniu 31 V 1946 około godz. 2-iej w nocy został zatrzymany Komendant Powiatowej Milicji Obywatelskiej Kościan obywatel Maliczak Władysław, członek PSL-u, podejrzany o postrzelenie funkcjonariusza MO st. sierż. Paluszyńskiego Mariana. Jak również przytrzymano Rybczyńskiego Ignacego — funkcjonariusza MO podejrzanego o postrzelenie zastępcy komendanta Powiatowego MO Słowackiego Jana (pepeerowca). Wyżej wymienieni zostali przekazani do Wojewódzkiej Komendy MO w Poznaniu. Nadmieniamy, że wyżej wymieniony wypadek miał miejsce na zabawie, urządzonej w powyższym dniu przez Powiatową Komendę Milicji Obywatelskiej, na której powstała awantura pomiędzy Komendantem i jednym z mężczyzn. Widząc to Zastępca Komendanta wraz z sierżantem Paluszyńskim i jeszcze jednym funkcjonariuszem, nie chcąc dopuścić do awantury na sali, wyprowadzili awanturującego się na ulicę, celem wysłania go do domu, gdzie

przylączyło się do nich kilka osób cywilnych i między nimi jeden z oficerów Armii Sowieckiej. Widząc to obywatel Paluszyński podszedł do wspomnianego oficera, który stał od grupy w odległości 2 metrów i oświadczył mu, żeby się udał na salę, że jako żołnierz między cywilami nie ma nic do szukania. W trakcie rozmowy padł strzał trafiając Paluszyńskiego w plecy, po wykrzyku, że jest ranny odwrócił się, spostrzegając na schodkach przed domem, gdzie odbywała się zabawa, stojącego Komendanta Maliczaka, który chowając broń do kieszeni, wycofał się do budynku, gdzie odbywała się zabawa. Po zatrzymaniu Maliczaka i drugich, którzy byli na dworze w czasie zajścia w korytarzu, spowodował strzał z automatu Rybczyński raniąc w dłoń Zastępcę Komendanta Słowackiego. Jednocześnie nadmieniamy, że po przybyciu oficerów śledczych, wydelegowanych przez Wojewódzką Komendę MO Poznań, przeprowadzono rewizję w mieszkaniu Maliczaka, w trakcie której w piwnicy znaleziono: 6 skrzyń amunicji karabinowej – jakieś 9 000 sztuk, 1 karabin, 4 fuzje myśliwskie, 6 granatów ręcznych oraz 12 skrzyń pustych – identycznych w jakich znajdują się naboje”.

#### 2 czerwca

Z raportu milicyjnego: „W nocy 2 VI 1946 siedmiu nieznanych uzbrojonych sprawców w karabiny i automaty wtargnęło przemocą do mieszkania rolnika Lewandowskiego w Bielawach pow. Kościan i pod groźbą użycia broni zmusili Lewandowskiego i jego żonę do położenia się na podłogę, poczem splądrowali mieszkanie zabierając garderobę, bieliznę, jeden puszorek z uzdą i lejcami, jeden akordeon i 75 kilogramów słoniny. Sprawcy po dokonanej czynie oddalili się przez nikogo nie zauważeni, nie pozostawiając żadnych śladów. Poszkodowany zgłosił o wypadku dopiero po upływie 11 godzin. Sprawców dotąd nie wykryto – sprawa w dalszym toku śledztwa”.

\* Aresztowano twórcę i pierwszego komendanta śmigielskiej Milicji Obywatelskiej ppor. Łucjana Wardę. Szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Kościanie w tajnym ra-



Żołnierze z Komendy Wojskowej w Kościanie w 1946 r.

W zbiorach autora tekstu

porcie napisał: „W dniu 2 VI 1946 został aresztowany były członek tajnego organizacji WSGO „Warta” Warda Łucjan ur. w Kaczkowie pow. Żnin, były zawodowy sierżant Wojska Polskiego, a obecnie podający zawód robotnika, posiadający 3 lata powszechnego uniwersytetu korespondencyjnego w Warszawie, żonaty, bez stanu majątkowego, zamieszkały w Śmiglu. Wyżej wymieniony ukrywał się od czasu aresztowania Gronowskiego, Piotrowskiego i Judka – członków tajnej organizacji „Warta” tj. od 4 XII 1945 r., którzy ostatnio zostali zwolnieni z więzienia(...) Śledztwo w toku”.

### 3 czerwca

O trzeciej w nocy z zabawy ludowej w Śmiglu wracał Edward Hetmański z Glińska. Na szczęście nie był sam, bo zabawa dobiegała końca i ludzie rozchodzili się grupkami. Nagle z mroku wyłonił się czerwonoarmista z pistoletem w dłoni i wymachując bronią zażądał gotówki, zegarka i... garnituru pana Edwarda. Napadnięty zaczął się stawiać i wzywać pomocy, bo nie wypadało przecieżyć w samych gaciach wracać do domu. W raporcie milicyjnym odnotowano m.in.: „Nieznany żołnierz Armii Czerwonej pod groźbą wymierzonego pistoletu żądał wydania pieniędzy, zegarka i usiłował rozebrać Edwarda z ubrania. Na krzyk napadniętego pospieszył znajdujący się w mieście milicjant Szczepaniak i po krótkim pościgu zdołał ująć sprawcę w osobie lejtnanta A. Cz. Tichanowa Władymira z jednostki wojska sowieckiego w Czacz. Sprawę skierowano do Prokuratury Sądu Okręgowego w Lesznie”.

\* Komendant powiatowy MO w Kościanie narzekał na narastającą plagę kradzieży, pisząc do władz zwierzchnich w Poznaniu: „Kradzieże dokonywane bywają w różnych miejscach bez względu na porę roku, najczęściej nocą. W obecnej dekadzie zachodzi cała masa kradzieży rabunkowej, dokonywanej z bronią w porze nocnej przez pojawiające się bandy. Wiek przestępców waha się od 20 do 46 roku życia. Kradzieży dokonuje przeważnie ludność robotnicza, jak również wojska radzieckie oraz pojawiające się bandy. Przyczyny przestępstw bywają z powodu trudności życiowych jak i również w dużej mierze wypadków z racji zniechęcenia do godziwej pracy, to jest chęci lekkiego zarobkowania”.

### 6 czerwca

Śczęśliwie zakończył się wypadek plutonowego z Komendy Powiatowej MO w Kościanie Franciszka Wujczaka, który nad ranem, dokładniej o godz. 4.30 przewoził całą swoją rodzinę motocyklem do Głuchowa. Pierwsze sygnały były bardzo groźne. Okazało się jednak, że plutonowy „w motocyklowej przyczepce wioził troje dzieci i na zakręcie w miejscowości Jarogniewice uderzył w przydrożne drzewo, wskutek czego wytknął sobie palce lewej nogi”.

### 7 czerwca

Z powojennego chaosu bardzo często korzystali rodzimi przestępcy, różnego rodzaju cwaniacy, a nawet zbrojeńcy. I tak pod Śmigłem napadnięto studentkę z Warszawy Pelagię M. Napastnik próbował dziewczynę zgwałcić, a że broniła się dzielnie, okradł ją i uciekł. Podejrzanie padło najpierw na żołnierzy sowieckich. Szybko wyszło jednak na jaw, że zbrojeńcem i rabusem był Polak, mieszkający w jednej z podśmigielskich wsi. Opis zdarzenia zawiera raport milicyjny: „7 VI 1946 na drodze prowadzącej ze Śmigła do Wilkowa Polskiego pow. Kościan została napadnięta przez nieznanego osobnika, czasowo przebywająca w Wilkowie Polskim studentka z Warszawy M.P., który usiłował ją zgwałcić. W czasie szamotaniny się pobił dotkliwie po twarzy i na całym ciele i nie mogąc dokonać zamierzonego celu ukradł jej z torebki 1 550 zł. gotówki i ulotnił się. Zarządzony natychmiastowy pościg doprowadził do ujęcia sprawcy w osobie X. zam. w Y. pow. Kościan. Sprawę skierowano do Prokuratury Sądu Okręgowego w Lesznie.

### 9 czerwca

Pobito Wincentego Cieblewskiego z Czacza. Sprawcami okazali się żołnierze Armii Czerwonej. W dokumencie o nazwie „Opis przestępczości wykazanej liczbowo w wykazie przestępczym za czas od 1 do 30 czerwca 1946 roku”, sporządzonym przez Powiatową Komendę MO w Kościanie napisano m.in.: „Napadnięty został na drodze prowadzącej z Białcza Nowego do Czacza, w odległości 300 metrów od miejscowości Czacz, o godz. 22-iej obywatel Cieblewski Wincenty, który został dotkliwie pobity przez żołnierzy A.Cz. stacjonujących w Czacz. Sprawę skierowano do Prokuratury Sądu Okręgowego w Lesznie.

### 11 czerwca

Trzy minuty po drugiej w nocy pod leśniczówką Ziemiń zjawili się 35 mężczyzn w mundurach Wojska Polskiego, uzbrojonych w automaty, karabiny, broń krótką i granaty ręczne. O tym zajściu organa bezpieczeństwa publicznego dowiedziały się z opóźnieniem z doniesień agenturalnych, ponieważ leśniczy Michał Nowakowski nie złożył żadnego doniesienia. Według późniejszych informacji Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie miało być tak: „Nieznani osobnicy żądali otwarcenia drzwi, zagrażając w razie oporu rzuceniem granatu ręcznego. Obywatel Nowakowski otworzył drzwi poczem przeglądali dokumenty pytając o przynależność partyjną, żądali wydania broni, poczem zrabowali odzież, obuwie, bieliznę, rower damski, lornetkę oraz 1 800 zł. gotówki. W międzyczasie przerwali przewód telefoniczny uniemożliwiając porozumienie się. Rabunek trwał około jednej godziny. Pościgu nie zarządzono, gdyż leśniczy Nowakowski w obawie przed zemstą, którą mu odgrozili, o zajściu nie meldował, a milicja dowiedziała się o wypadku w drodze poufnej”.

\* Milicja Obywatelska miała swoich własnych informatorów (poza informatorami UB). kościański komendant powiatowy MO napisał, że: „Służba informatorów jest dostateczna, zorganizowana przy poszczególnych posterunkach. Informatorzy są ideowi, opłacani za dopomożenie względnie wykrycie jakiejś sprawy. Suma wydatkowana na informatorów wynosi ok. 500 zł. miesięcznie”.

### 24 czerwca

W stodole we wsi Jurkowo znaleziono zwłoki mężczyzny Jana M. z rozbitą głową. Przyczynę śmierci nie udało się ustalić. Przypuszczano jedynie, że w grę wchodzi samobójstwo. W protokole zanotowano m.in.: „Według przeprowadzonych dochodzeń jak i również twierdzenia komisji sądowo-lekarskiej wyżej wymieniony popełnił samobójstwo lub też postrzelił się przypadkowo karabinem Mausera, którego znaleziono w niedalekiej odległości od trupa; broń zabezpieczono i wraz z dochodzeniami sprawę kieruje się do Prokuratury Sądu Okręgowego w Lesznie. (cdn)

**JERZY ZIELONKA**

# Dumni z poprzedników

To żadna tajemnica, że interesuję mnie losy absolwentów kościańskiej Szkoły. Przy czym szczególnie chciałbym poznać i odtworzyć życiową drogę tych, którzy ukończyli Szkołę przede mną, a więc przed rokiem sześćdziesiątym. Czuję z nimi jakby osobistą więź i swego rodzaju pokrewieństwo. Lubię siedzieć przy biurku w kręgu światła rzucanego przez stojącą na nim lampkę i odtwarzać, czasem mozolnie, ich dzieje. Zda mi się wtedy, że przychodzą do mnie i opowiadają mi swe życie. Dotąd ukazały się trzy zeszyty z prawie dwustu pięćdziesięcioma biogramami absolwentów. To zaledwie jedna czwarta tych, którzy kończyli naszą Szkołę przede mną. Pracuję nad czwartym zeszytem. Być może uda mi się go dokończyć i opublikować. Kto w nim będzie? Przede wszystkim ci, którzy odeszli w czasie, który minął od opublikowania trzeciego zeszytu. Ludzie, których znałem i nie znałem. Ludzie niezwykli. Niezwykli karierą jaką zrobili w nauce, ale także niezwykli swoim charakterem i osobistymi cechami.

## Patron z mojej ulicy

Zmarł w 2006 r. Marian Koszewski. Na trwale zapisał się w badaniu okupacyjnych dziejów Kościana. Ja jednak zapamiętałem Go jako prawego i skromnego, mimo swoich dokonań, człowieka. Kochającego nasze miasto. Pełnego ciepła i sympatii. Człowieka, który mimo doznanych krzywd, krzywd niczym niezасłużonych i nieludzkich, potrafił swoim prześladowcom przebaczyć. Prawdziwy chrześcijanin. Cieszy mnie to, że jego imieniem nazwano szkołę stojącą na zapleczu ulicy, przy której się urodził i żył. Cieszy tym bardziej, że to także „moja” ulica...

Nie żyje Szczęsny Makowski. Autor wielu opracowań o naszym mieście. Żołnierz Września. Odszedł doktor Michał Dworcak, który asystował przy narodzinach wielu roczników kościaniaków. Zmarł, zawsze pełen humoru i chęci życia, Edward Stróżyk. Odszedł znakomity architekt Zygmunt Roszak.

Projektował m.in. kościoły – w Poznaniu, Śródzie Wlkp., Łęce Wielkiej, Dopiewie i wielu innych miejscowościach. Żywo uczestniczył w życiu naszego Towarzystwa Absolwentów.

W końcu ubiegłego roku, dokładnie 10 listopada zmarł profesor Eugeniusz Grys, długoletni Kierownik Kliniki Ginekologii i Ordynator Oddziału Ginekologii i Ginekologiczno – Położniczego Szpitala Klinicznego Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Urodził się w Śmiglu, absolwent Szkoły z roku 1951. Świetne wyniki w nauce i doskonale zdany egzamin maturalny pozwoliły mu na rozpoczęcie studiów medycznych bez egzaminu wstępnego. Autor rozlicznych publikacji naukowych. Wyniki swoich badań prezentował m.in. na Światowym Kongresie Ginekologów w Tokio zyskując międzynarodowe uznanie.

## Na szczytach geodezyjnej profesji

W grudniu 2009 r. zmarł profesor Jerzy Fellmann. Urodził się w Kościanie, absolwent z 1945 r. inżynier geodeta, profesor nadzwyczajny nauk technicznych. M.in. w latach 1985 – 1989 Dziekan Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Autor wielu podręczników, monografii, artykułów naukowych i technicznych. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się i cieszą opracowane przez niego „Siedmiocyfrowe tablice funkcji trygonometrycznych dla podziału koła na 400 gradów”. Miały kilka wydań. Profesor w swej młodości był zamiłowanym sportowcem nie pozbawionym znacznych sukcesów. W 1939 r. był wicemistrzem juniorów Poznania w tenisie. W 1954 r. zdobył mistrzostwo województwa warszawskiego w tenisie ziemnym. Myślę, że nie opuścił żadnego ze zjazdów absolwentów Szkoły. Zawsze pełen humoru i wigoru. Jestem pełen podziwu dla jego wszechstronnych zainteresowań. Był też m.in. w 1957 r. uczestnikiem polskiej wyprawy na Spitsbergen. Wkład Profesora w rozwój geodezji i kartografii trudno

przecenić. Opracował metodykę i wykonał inwentaryzację grobów megalitycznych i neolitycznych grobowców. Przeprowadził uczytelnienie topograficzne zabytkowych grodzisk wczesnośredniowiecznych w postaci map. Dość tylko wspomnieć, że w 1983 r. z okazji XXX-lecia Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego miała miejsce wystawa jego prac pod nazwą „Geodezja w badaniach archeologicznych”, na której zaprezentowano mapy i plany 150 obiektów pomierzonych przez niego.

A jak się zaczęła „droga” Profesora na szczyty geodezyjnej profesji? W dość szczególny sposób rozbudzona została jego pasja. W czasie okupacji Niemcy postanowili przeprowadzić geodezyjne pomiary Kościana i w 1942 niemiecki urząd pracy skierował Jerzego Fellmanna do prac pomocniczych w biurze pomiarów. Przyszły Profesor tak się „rozsmakował” w tej pracy, że po wyzwoleniu i zdaniu matury, podjął studia na Wydziale Geodezji Politechniki Warszawskiej, tam też nadawano mu kolejne tytuły – doktora, doktora habilitowanego, profesora zwyczajnego...

## Od młyna do katedry

Podobnie zadawane przez okupanta „zło” zamieniło się w „dobro” i w przypadku innego absolwenta Szkoły – Stanisława Lecha Jankowskiego (aczkolwiek i być może, że i bez okupanta losy tych ludzi potoczyłyby się podobnie). Profesor Jankowski urodził się w Grodzisku Wlkp., w 1932 r. zdał w Kościanie maturę. W czasie okupacji znalazł się w Szamotułach. Zmuszony był pracować jako robotnik we młynie. Po okupacji podjął studia na Wydziale Rolniczo – Rolnym Uniwersytetu Poznańskiego. I tak rozpoczęła się jego naukowa kariera. Tytuły doktora, doktora habilitowanego, profesora i w końcu w 1969 profesora zwyczajnego nauk technicznych. Profesor kierował Katedrą Technologii Zbóż, która stała się wiodącą jednostką naukowo – badawczą i dydaktyczną w Polsce. Było nawet określenie „poznańska szkoła chemii

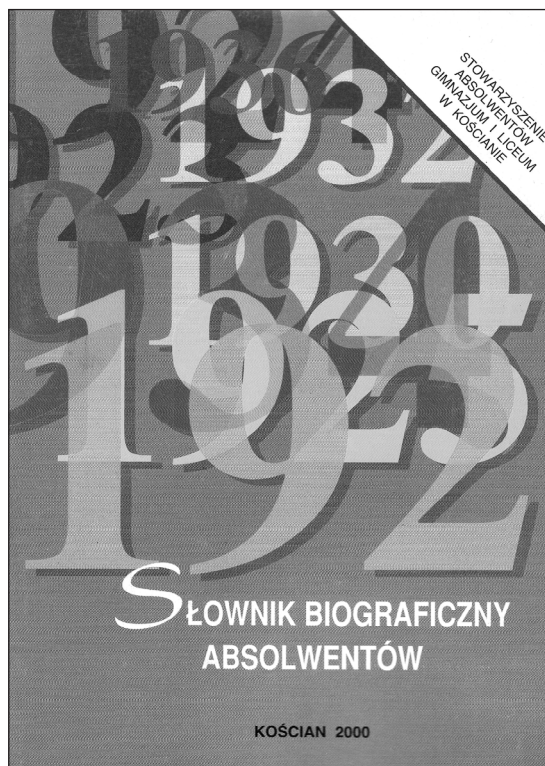
i technologii zbóż”. Szczególną troską i zainteresowaniem obejmował Profesor dział młynarstwa. Niektórzy doszukiwali się początków tej pasji w czasach jego pracy we młynie w czasie okupacji. Profesor Jankowski napisał wiele podręczników, monografi i naukowych artykułów i na trwale zapisał się w dziedzinie, której poświęcił swe życie zawodowe.

Powiedzieć jednak należy o jeszcze jednej sprawie. W okupację Profesor nie tylko pracował we młynie. Działal czynnie początkowo w ZWZ, a następnie w Armii Krajowej. Prowadził wywiad, organizował pomoc społeczną dla ofiar hitlerowskich represji, uczestniczył w tajnym nauczaniu. Na terenie powiatu szamotulskiego organizował grupy konspiracyjne, które pod koniec okupacji liczyły ponad sto osób. Za działalność konspiracyjną został 9 sierpnia 1944 r. aresztowany przez Gestapo i osadzony najpierw w obozie koncentracyjnym w Gross Rosen, a później we Flossenburgu. Profesor zmarł w 2006 r., a w roku 2008 Towarzystwo Przyjaciół Armii Krajowej w Szamotulach przyjęło imię „Profesora Stanisława Lecha Jankowskiego”.

## Śmierć na nieludzkiej ziemi

W toku prac nad kolejnym tomem słownika udało się odtworzyć życiowe losy kilku kolejnych absolwentów kościańskiej Szkoły ze starszych, przedwojennych roczników. Po opracowaniu wszystkich biogramów pierwszego rocznika maturalnego z 1923 r. szczególnie cenne wydają mi się dzieje dwóch kolejnych absolwentów z rocznika 1924. Pierwszy z nich według alfabetu to – Władysław Wojciech Jakubowski. Jego postać jakby „zniknęła” z życia naszej Szkoły. Nie brał udziału w powojennych zjazdach absolwentów. A teraz „udało” się odtworzyć jego losy. W latach 1924 – 1933 studiował prawo na Uniwersytecie Poznańskim, a później odbywał aplikację w Sądzie Okręgowym w Poznaniu. Już w 1932 r. otrzymał stopień oficerski. Walczył

w kampanii wrześniowej. W bliżej nie znanych okolicznościach dostał się do sowieckiej niewoli. Był przetrzymywany w Kozielsku. Został zamordowany w Katyniu. To kolejny nasz absolwent spoczywający na „nieludzkiej ziemi”.



Okladka jednego z trzech wydanych już tomików „Słownika biograficznego absolwentów kościańskiego Gimnazjum i Liceum” Zdzisława Wojtczaka.

Reprod. T. Masłowska

W Katedrze Polowej Wojska Polskiego poświęcono mu jedną z tysięcy umieszczonych tam tabliczek. Niestety, nie wiem z jakiego powodu zamieszczono na niej niewłaściwą datę urodzenia. A co do niej nie ma przecież najmniejszych wątpliwości. Figuruje ona w dokumentacji Szkoły. Dzięki uprzejmości Sebastiana Tulińskiego historyka z Grodziska dysponuję też kserokopią przedwojennego dowodu tożsamości Władysława Jakubowskiego

W Katedrze WP jest jeszcze jedna tabliczka poświęcona przedwojennemu absolwentowi Szkoły z rocznika 1924 – Czesławowi Ratajczakowi pochodzącemu z Kościana. I on jakby zniknął z tradycji Szkoły. Teraz wyjaśniło się z jakiego powodu. Przed wojną ukończył dwa lata studiów medycznych.

Następnie pracował w Starostwie Powiatowym w Bydgoszczy. Mianowany na stopień podporucznika 25 sierpnia 1939 r. został zmobilizowany i odbywał służbę w Szpitalu Wojskowym w Warszawie przy ul. Powązkowskiej. Wraz ze szpitalem był ewakuowany na wschód. Pod Łuckiem dostał się do sowieckiej niewoli. Przebywał w obozie w Starobielsku. Rozstrzelany został w siedzibie NKWD w Charkowie.

Jeszcze o jednej postaci, której biogram powinien znaleźć się w kolejnym zeszycie słownika. Bernard Sadecki absolwent z rocznika 1928. Został wyświęcony 17 czerwca 1934 r. w Gnieźnie. Był pierwszym proboszczem i budowniczym kościoła w Cierplicach w dekanacie toruńskim. Aresztowany przez Niemców i osadzony w obozie w Stutthofie, tam zmarł 3 sierpnia 1940 r.

## Los jak w soczewce

II wojna światowa jest już historią. Zbiorem dat, których uczą w szkołach. Tak być musi. Pamiętajmy jednak o tym, że dla niektórych to nie historia – to było i jest nadal ich życie. Żona Czesława Ratajczaka – Irena z domu Śniegocka, nauczycielka, zmarła w 1995 r. Do dziś w Bydgoszczy żyją dzieci Czesława – córka Ewa (księgowa) i Czesława (nauczycielka), nosząca aktualnie nazwisko Koziej, urodziła się w 1940 roku, a więc gdy jej ojciec

przebywał już w sowieckiej niewoli. I jeszcze jedno. Ojciec żony Czesława Ratajczaka – Stanisław Śniegocki, kierownik szkoły powszechnej w Czeszewie (pow. Września) został we wrześniu 1939 r. aresztowany przez Niemców w Bydgoszczy i rozstrzelony w Dolinie Śmierci koło Fordonu. W tej rodzinie jak w soczewce odzwierciedlił się los polskiej inteligencji tamtych lat.

Chciałbym, by wszyscy tu wymienieni i wielu jeszcze innych znaleźli się w kolejnym zeszycie Słownika. Zasłużyli sobie na to, ażeby ich życie nie przeszło w naszej społeczności bez echa. I co niemniej ważne – dzisiejsi uczniowie Szkoły, naszej Szkoły, jak czasem zwykłem mówić, mogą być dumni ze swych poprzedników

**ZDZISŁAW WOJTCZAK**

# Kręcić każdy może

Nocny transport wiatraków, hymn piłkarski kibiców Obry Kościan, wycieczka po Kościanie bez wychodzenia z domu oraz „Piękna Helenę” w drodze. To wszystko i wiele więcej można zobaczyć na internetowym portalu You Tube na temat Kościana i powiatu.

Portal internetowy You Tube, w którym każdy może zamieścić nakręcony przez siebie film, jest jak cały Internet – pełno tam śmieci, agresji i wulgarności, ale jak sięgnąć głębiej znajdzie się kilka interesujących filmów, chociaż na arcydzieła nie ma co liczyć. Kościaniaci kręcą na potęgę, po wpisaniu samej nazwy miasta wyskakuje około tysiąca wyników.

## Ministerstwo szybkich kroków

Pierwszy z brzegu film o pierwszym zlocie jumpstyle w Kościanie w 2008 r. Chłopcy energicznie poruszają się w takt muzyki. Jumpstyle to muzyka w stylu house oraz kilka odmian tańca, które powstały w Chicago. Film, oglądany około 3,5 tys. razy, wywołał żywą dyskusję między zwolennikami i przeciwnikami jumpstyle'u. Gość o nicku „MsFlesHer” podsumował sprawę krótko: „Każdy robi to co lubi. Ale ten Jumpstyl wygląda jakbyście się odginali od much tymi nogami;)” Dalej jest gorzej, sypią się wyzwiska z komentarzami nie do cytowania. Chłopcy fajnie spędzają czas skacząc w takt muzyki, a wywołuje to falę agresji.

Przechodzę do świata C-walku. Jestem pod wrażeniem umiejętności tancerza o nicku „MrGrzybek98”, który zaledwie po tygodniu ćwiczeń przebiera nogami aż miło. Internauci tym razem nie szczędzą pochwał i dopingują do dalszych ćwiczeń. Korzenie C-walk są dość ponure, C-walk, a właściwie Crip Walk przybył do nas przed kilkoma laty zza oceanu. Nazwa pochodzi od gangu Crips, który w latach 90. operował w okolicach Los Angeles. Bandyci odprawiali dzikie tańce, jak im się udało wyeliminować, czytaj – zabić członka rywalizującego gangu. Tę formę tańca przejęli amerykańscy raperzy, stracił on kryminalne związki i został przemianowany na c-walk. Inny pasjonat o nicku „CriqWalk” przedstawia Kościańską Grupę C-Walk, która zbiera

na boom-boxa – czyli przenośnego jamnika potrzebnego do ćwiczeń: „Kościańscy Walkerzy są dobrzy w tym co robią. Okazują emocje przez c-walka. U każdego można zauważyć inny styl. Na podstawie kroków można określić uczucia jakie panują w nas w czasie walcowania” – uzasadnia „CriqWalk” zachęcając do logowania się na podaną stronę internetową. Apel zapewne aktualny, bo film jest zaledwie sprzed 2 miesięcy.

Po dawce ostrej muzyki i szybkich kroków uspokajam się przy sporej liczbie pierwszych tańców weselnych. Początek wesela. Atmosfera nieco sztywna i napięta, goście jeszcze na galowo, towarzystwo nie zdążyło się roztańczyć. Młoda para samotnie snuje się po parkiecie w rytm muzyki lokalnej kapeli. Moje poszukiwania filmu, na którym byłby uwieczniony ostatni taniec spełżył na niczym. Pewnie nie było się czym chwalić.

## Miasto moje a w nim

Hołowczyc w Kościanie. Do obejrzenia dwa dziesięciosekundowe ujęcia pędzącego „Hołka”. Ale co się dzieje. Kierowca wypada z Bernardyńskiej, o mało co nie przejeżdżając rowerzystów przechodzących po pasach. Spokojnie. Hołowczyc nie zmienił się w pirata szos, to tylko film „Eksperyment życie” kręcony m.in. w Kościanie, w którym znany rajdowiec przekonuje do bezpiecznej jazdy zgodnej z przepisami. Pozostając w świecie motoryzacji podziwiam wyczyny chłopaków na skuterach – uczestników Kościan Slider Stunt Session 2008 autorstwa „Miki.Zet”. Film trwa ponad 5 minut i cieszy się popularnością, co prawda to nie Britney Spears, której teledyski ogląda kilkanaście milionów, ale z 5 tysiącami widzów, film osiągnął dobry wynik. Jest na co popatrzeć. W rytm szybkiej muzyki motocyklista jedzie na przednim kole, potem płynnie przechodzi na tylne. To dopiero rozgrzewka,

za chwilę jedzie na tylnym kole jedną nogą stojąc na bagażniku. Jakby kaskaderzy Apolinarskiego zamienili konie na skutery. Dzieło wieńczy efektowne buksowanie tylnymi kołami ze snopem iskier.

Z internautą „YamanKosem” jadę na wirtualną wycieczkę po Kościanie. Start spod wieży ciśnień, którą z daleka widać przy wjeździe do miasta. W projekcie, do którego obiecała dorzucić się unia, przewiduje się przekształcenie starej wieży w obserwatorium astronomiczne. Dalej ulica Piłsudskiego i kościółek św. Ducha w promieniach późnoletniego słońca. Okrążenie Rynku, chwila zamyślenia przy tablicy poświęconej rozstrzelanym w publicznej egzekucji z 1939 r. A oto już droga kościaniakom fara z brakującą wieżą i zakręt w stronę Kaplicy Pana Jezusa, przy której czuwa Jan Paweł II. Szybki przejazd kamerą po obrazie nędzy i rozpaczy – budynku dworca i widok na kościańską pływanię, dla jednych źródło radości, dla innych powód do wyrzekania na rozrzutność poprzedniej władzy. Przejazd po plantach – duma kościaniaków, takiego miejsca może pozazdrościć nie tylko niegdyś wojewódzkie Leszno. Piękne kasztanowce trzymają się dzielnie, chociaż od dobrych kilku lat podgryza je wredny szrotówek. Jedziemy do parku miejskiego, nerwowe, szybkie ujęcia, bo nasz filmowiec zasuwa rowerem. Mija jeden z ładniejszych obiektów – wiatrak, miejsce pracy rzeźbiarza Mariana Malińskiego. Wycieczka trochę złowieszczko kończy się przy betonowym grzybku, kiedyś ulubionym miejscem samobójców. Internauci mieli wyzywanie, film skrytykowano za montaż, ujęcia itd. Na krytykę autor odpowiedział tak: – Niektórzy twierdzą, że w Kościanie nie ma nic ciekawego... Chciałem w oryginalny sposób pokazać, że się mylą”. Też odnoszę wrażenie, że kościaniaci nie lubią swojego miasta, na szczęście nie wszyscy.

Nie sposób pominąć kościańskiego sportu na You Tube. Poza licznymi fragmentami meczów zespołów sportowych, treningów, sparingów itd. kibice Obry Ko-



*Wirtualna wycieczka po mieście.*

*Kadr z filmu internauty „YamanKos”*



*„Piękna Helena” na trasie do grodziska przez Kościan.*

*Kadr z filmu Andrzeja Maształerza*

ścian umieścili hymn piłkarski na cześć swojego zespołu. „Cały Kościan wariuje kiedy Obra wojuje, na trybunach znaleźć miejsce by przywitać się z tłumem”. „Neptyn” wyjaśnia genezę utworu: „Kibice Obry pobili kiedyś kibica unii, później była riposta leszczyniaków, pojechali do Kościana, ale nikogo nie znaleźli to wymalowali ściany, o tym jest w piosence”. Pozostałe komentarze odnoszące się do sprawności zawodników, orientacji seksualnej oraz cech umysłowych ich kibiców lepiej pominąć milczeniem. Oglądalność rekordowa – ponad 7 tysięcy. Wkrótce otwarcie sezonu, 30 marca Obra zagra ze Spartą Miejska Górka. Oj będzie się działo, pewnie także w Internecie.

### Fiatem po torach

Kolej. Można na nią psioczyć, ostatniej zimy w spóźnieniach i burdach między spółkami przeszła samą siebie. Jednocześnie czy to zwykły TLK ze Szczecina do Przemyśla, kiedyś największa mordownia na kółkach, czy słynna „Piękna Helena” – kolej żelazna nieodmiennie przyciąga, kusi i fascynuje. Jej miłośnicy, są ich tysiące, potrafią godzinami czekać na tzw. fotostopach na najlepsze ujęcie. Zaprzyjaźniony kolejarz opowiadał mi o zagranicznych turystach, którzy na trasie z Poznania do Wolsztyna płacili rybakom, żeby wyciągali wędkę – z uprzednio przygotowaną rybą – akurat w momencie przejazdu parowozu, a pewien Japończyk chodzi ze statywem i... maczetą do wycinania krzaków, które zasłaniają idealne ujęcie.

Łatwo się domyśleć, że filmów o tematyce kolejowej na You Tube znajdzie się wie-

le. Z przyjemnością obejrzałam ten wolsztyńskich parowozach Pm36 i TY2406 na trasie Wolsztyn – Leszno – Kościan – Grodzisk. Początek w wolsztyńskiej parowozowni, jedynej w świecie jeszcze czynnej „szopie”. Kamera obserwuje zabiegi pielęgnacyjne, w slangu zwane pieczołowicie obrządzaniem, przygotowujące „Piękną Helenę” do drogi. Wjazd parowozu Pm36 na stację w Wolsztynie zostaje obfotografowany przez miłośników kolei. Kolejne ujęcia pokazują maszynę w ruchu; opuszczając miasto, przejeżdżając przez malowniczy las i pola. Od Leszna film jest kręcony z kabiny maszynistów. Dla Anglików, Belgów czy Holendrów zabawa w pomocnika maszynisty jest – jak w reklamie – bezcenna. Wrzucić do paleniska tonę węgla, spocić się przy tym i ubrudzić sadzą, to szczyt szczęścia. Belg, ukrywający się pod nickiem „Jacopsclan”, jest niezłe zakręcony na tle polskich kolei, nakręcił o nich kilkadziesiąt filmów, wszystkie do obejrzenia na jego kanale.

Z nieco innej beczki. Biały fiat 126p jadący po torach zaskoczy niejednego kierowcę. Także tego, który zdołał sfilmować to cudo okolicy Sepna, gdzie spokojnie sunął po linii kolejowej Grodzisk – Kościan. Podobnych fiatów jeździ kilka, ten przystosowali chłopcy z Grodzkiej Kolei Drezynowej, którzy opiekują się tą nieczynną linią.

### Warto czekać

Wąskotorowa Śmigiełska Kolej Dojazdowa mogłaby rozślawić miasteczko, jak parowozownia Wolsztyn. Póki

co walczy o przetrwanie, bo wciąż gromadzą się nad nią ciemne chmury. Internauta Andrzej Maształerz umieścił ponad sto różnych kolejowych filmów, w tym kurs specjalny parowozu Px48 ze Śmigła do Starego Bojanowa, który obejrzała rekordowa liczba osób, bo prawie 19 tys. razy. „MacSpringer” w komentarzu napisał: „Wspaniały, nastrojowy film, zamiast zwykłej muzyka parowej maszyny. Perfekcyjne zakończenie”. Film kończy wjazd pociągu na stację w Starym Bojanowie. W komentarzach padają głosy pod adresem władzy samorządowej nawołujące do uratowania liczącej 111 lat zabytkowej kolejki wąskotorowej.

Porzucam kolej dla wiatraków. Drewniane śmigła na stałe wpisały się w krajobraz Śmigła, za to gmina nowoczesnymi turbinami wiatrowymi stoi. Dostojnie górują nad pejzażem np. w Morownicy. Ich transport jest skomplikowany logistycznie, odkąd nowoczesne wiatraki mogą osiągać długość nawet do 45 metrów. „Lukaszek0006” nakręcił nocny przewóz wiatraków przez Neklę. Z przodu i z tyłu ciężarówki pilnowały pilotujące samochody. Pokonanie zakrętu okazało się nie lada wyczynem, a nocny transport specjalny przyciągnął kilku obserwatorów i fotografów. Zza kadru słychać głos: „warto było czekać”.

Często filmowcy amatorzy także muszą się naczekać na odpowiednie ujęcie, ale po liczbie oglądających widać, że często warto się starać.

**TERESA MASŁOWSKA**





Fot. Bogdan Ludowicz

## Ostatnie polowanie

**P**olowanie było zaplanowane od dawna. Kilka razy w roku spotykaliśmy się w racockim łowisku, by trochę chwil wolnych od codziennych obowiązków spędzić na łowach. Niepowtarzalny krajobraz obrzańskich łągów, obfitość zwierzyny i zawsze towarzyszyła nam dobra pogoda. Jednak tym stało się inaczej. Nagłe załamanie styczniowej aury, łagodną zimą, zamieniło we wstrętą jesienną szarugę. Na domiar złego wiał porywisty wiatr. Nic tylko siedzieć w ciepłym myśliwskim pokoju, przy trunku wspominać łowieckie sukcesy i potknięcia. Ale pogodowe złośliwości nie popsuły nam planów. Wyjechaliśmy. Sześciu myśliwych i pięć psów. A smaczku towarzystwu dodawały dwie panie prowadzące gordony, oba młode nieopolowane. Moja czternastoletnia Alpa ze względu na wiek pozostała w domu. Reszta psów to wyzła elita. Krótkowłosa Adamo oraz dwa szorstkie Bodo i Marco. Adamo kiedyś w swej pasji wystawił nawet łochę z warchlakami. Było więc wszystko oprócz dobrej pogody. Choć święty Hubert wynagrodził nam to w postaci pięknego rozkładu. Na drugi dzień wyszło słońce i polowanie zapowiadało się mniej forsownie, więc nestorka Alpa poszła w pole. Chciałem, by jeszcze raz stanęła, by zaaportowała. To jej łowisko. To właśnie na obrzańskich łągach zaczynała polować. Na racockich

poletkach zadziwiała myśliwych swą pracą. I tym razem pracowała dobrze, choć wolno. Okładała pole nie dalej jak na dwadzieścia, trzydzieści metrów. Często odpoczywała. Nie przeszkadzało nam, że reszta towarzystwa znacznie nas wyprzedziła i to, że nie miałem okazji pociągnąć za spust też się nie liczyło. Ważna była radość w jej czarnych ślepiach. Była szczęśliwa. Polowaliśmy razem, to było najważniejsze.

W duchu modliłem się do świętego Huberta i Eustachego razem, by ci co szli przed nami przeoczyli jakiegoś ptaka, by dostała wiatr i stanęła. Niestety wyprzedzający nas myśliwi i psy byli zbyt dobrzy, by po nich sprzątać. Nie traciłem nadziei. I stało się. Piękny kogut nie przyjął śrutu. Zapadł w rzadkich trzcinach kilkaset metrów dalej. Marzyłem o nim, nie dla siebie, ale dla suni. Przyjaciele poczekali i poszliśmy razem. Po kilkunastu minutach w pół-przysiadzie wyciągnęła się jak struna. Tak pięknie potrafią robić stójki tylko wyzły brytyjskie. Komenda: ruszaj. Kogut w powietrzu, strzał i ptak łamie się po drugiej stronie Obry. Puściłem Alpe. Przepłynęła kanał, ale na stromą skarpe już nie miała sił się wdrapać. Spojrzała w moją stronę oczekując pomocy. A co ja mogłem zrobić? Odwołałem ją i pomogłem wydostać się na brzeg, mówiąc jej, że od czarnej roboty są labra-

dory, a dla Brytyjczyka przede wszystkim liczy się piękna stójka.

Od tego czasu nie minął nawet miesiąc. Sunia słabła z dnia na dzień. Dywany wyjechały na śmietniko, a my w dzień i w nocy co dwie, trzy godziny staruszkę wyprowadzaliśmy. Wyniki badań były jak u zdrowego psa. Wierzyliśmy więc, że z tego wyjdzie. Niestety to nie była choroba tylko starość. Przestała chodzić. Przyszedł jej czas. Czas na odejście. Gdy przyszedł lekarz była spokojna nawet zamachała na przyjaciela ogonem. Przyzwyczajona ostatnio do wizyt i zastrzyków. Spokojnie trzymała głowę na moich kolanach a jej kumpela jamnica Paga, jak zwykle lizała ją po faflach. Ja stary myśliwy wstrzymując łzy opowiadałem jej, że pójdziemy na gęsi i bażanty. A tam gdzie za chwilę będzie spotka przyjaciół, z którymi polowała, że za jakiś czas znów zapolujemy razem. Boże co ja jej nie mówiłem. Odeszła cicho westchnąwszy.

Pochowałem ją nad zalewem woniejskim, gdzie najczęściej polowała. Spyta ktoś, a co z ostatnim spacerem? Ten sposób zejścia mego towarzysza łowów nigdy nie istniał i już wiem na pewno, że istnieć nie będzie. Trzeba zdobyć się na odwagę, by tych kilka minut być razem blisko, a nie z odległości puszczać kulę do psa, który wiernie służył przez wiele lat.

**BOGDAN LUDOWICZ**